

# RUTH JEAN DALE

## Śniadanie do łóżka

Tytuł oryginalny: Breakfast in bed  
Seria wydawnicza: Harlequin Romance (tom 417)

### ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Och, Clarence, nie możemy być razem, przecież dałeś słowo innej...*

Brooke zamrugła oczyma, chcąc pozbyć się mgiełki, jaka uniemożliwiła jej odczytanie ozdobnych napisów na planszy, która pojawiła się na ekranie. Szczerze mówiąc, było to zupełnie niepotrzebne, ponieważ widziała ten film tak wiele razy, iż znała go na pamięć. „Zakazana miłość”, czarno-biały obraz z 1925 roku, był pierwszym filmem, w którym pojawiła się szesnastoletnia wówczas Cora Jackson. Mimo że minęło tyle czasu, jej pełna uroku rola nieodmiennie zachwycała dwudziestopięcioletnią Brooke Hamilton, która towarzyszyła byłej gwiazdce przez ostatnie lata jej życia.

Fascynująco piękna kobieta o twarzy dziecka wdzięcznym krokiem przesunęła się po ekranie. W tym momencie dłoń Brooke zamarła na grzbiecie dużego rudego kota, ułożonego wygodnie na jej kolanach. Zwierzę należało do panny Cory i zostało wraz z jeszcze jednym przekazane Brooke na mocy testamentu starszej pani. Minęły już dwa miesiące od jej śmierci, a mimo to Brooke nie zdążyła się jeszcze przyzwycząić do myśli, że jej przyjaciółka i mentorka odeszła na zawsze, bowiem nawet jako osiemdziesięcioletnia kobieta wciąż pełna była wigoru i czaru.

Kot poruszył się niecierpliwie.

- Przepraszam cię, Gable - szepnęła Brooke, powracając do głaskania puszystego grzbietu zwierzęcia. - Wiem, że często zdarza mi się tak zamyślić, ale bardzo mi jej brak... Zresztą tobie pewnie też.

Westchnąwszy ciężko, przeczytała napis na kolejnej planszy: Nie możesz splamić swego honoru! Zawsze jednak będziesz moją jedyną miłością... Ach, nie patrz na mnie w ten sposób!

Młodziutka panna Cora dramatycznym gestem przycisnęła dłoń do ust, zaś w jej oczach zalśniły łzy. Przyjaciółka wielokrotnie opowiadała zdumionej Brooke, że w epoce kina niemego kamerzyści gotowi byli uczynić wszystko, by uzyskać jak najbardziej korzystne ujęcie.

- Oczywiście nie mogło obyć się bez cebuli - śmiała się nieraz. - A kamerzysta musiał być prawdziwym geniuszem, aby sprawić, że te łzy wyglądały autentycznie. Ach, co ja

wtedy wiedziałam o graniu? - wzdychała. - Byłam przecież zwykłą dziewczyną z Illinois, która przypadkiem trafiła do Hollywood.

Ten przypadek nieodwracalnie zmienił dotychczasowe życie panny Cory, a pośrednio też i losy samej Brooke.

- Niesamowite - powiedziała cicho, drapiąc kota delikatnie za uchem.

Tymczasem zwierzątko prychnęło głośno, wpatrując się przy tym intensywnie w drzwi, jak gdyby spodziewało się, że za chwilę coś przez nie wtargnie do pokoju.

Drzwi owe, podobnie jak wszystko w Glennhaven, ogromnej wiktoriańskiej posiadłości na zboczu wzgórza, królujacego nad Boulder w stanie Kolorado, przypominały swym wyglądem dawno minione czasy szyku i przepychu. Brooke przysłała tu tego dnia z zamiarem posprzątania i posegregowania pamiątek po panie Córce, ale była tak przygnębiona, iż nie potrafiła

zmusić się do wykonania tego zadania. Dlatego odszukała jedną, ze swych ulubionych kaset i włożywszy ją do magnetowidu, usiadła wygodnie w fotelu. Szczerze mówiąc, to też nie przyniosło jej ulgi.

Cora Jackson Browne była jej bliższa niż ktokolwiek z członków jej prawdziwej rodziny. Była dla niej jak matka czy raczej babcia, ponieważ dzieliło je ponad sześćdziesiąt lat. Śmierć panny Cory tym mocniej wstrząsnęła Brooke, że nastąpiła całkowicie niespodziewanie.

Pewnego wieczoru starsza pani jak zwykle położyła się spać, aby już więcej się nie obudzić. W ten delikatny i pełen spokoju sposób zakończyło się jej wspaniałe życie. Po kilku dniach okazało się jednak, iż panna Cora przeczuwała swe rychłe odejście, jako że w długim i niesłychanie szczegółowym liście spisała swą ostatnią wolę. Przede wszystkim pragnęła ona cichego, skromnego pogrzebu, na którym nie życzyła sobie członków swej rodziny. Ci mieli zostać powiadomieni dopiero tuż przed oficjalnym odczytaniem testamentu. Opieką nad kotami, akr ziemi oraz niewielki domek gościnny przekazała zaś Brooke.

Taka dokładność, wręcz granicząca z drobiazgowością, była typowa dla panny Cory i choć Brooke nie do końca rozumiała niektóre z jej zaleceń, postanowiła że zrobi wszystko, aby wprowadzić je w życie. Dlatego też zjawiła się tego dnia w Glennhaven, by rozpocząć smutne, acz zaszczytne zadanie uporządkowania rzeczy należących do dawnej gwiazdy filmowej, tak aby przygotować dom na przybycie jego nowego właściciela. W ten sposób mogła po raz ostatni oddać przysługę swej ukochanej przyjaciółce. Było jej ciężko, lecz...

W tym momencie jej rozmyślania przerwał Gable, który niespodziewanie poderwał się i usiadł na jej kolanach, wpatrując się intensywnie w uchylone drzwi. Po chwili położył uszy po sobie i wbijając pazury w jej dżinsy, wykonał idealny koci grzbiet.

- Co się dzieje? - zapytała, próbując uspokoić go drapaniem po brzuchu, co zwykle natychmiast pomagało, lecz tym razem jednak zawiodło. - Usłyszałeś coś dziwnego?

Nie miała pojęcia, co kocisko mogło słyszeć poprzez dochodzące z telewizora rzewne dźwięki muzyki. Tymczasem kot zjeżył się jeszcze bardziej, co nie tyle zaniepokoiło, ile raczej zaintrygowało Brooke.

- O co chodzi, Gable? - zagadnęła łagodnie. - Przecież nie ma tu nikogo oprócz nas... W tej samej chwili drzwi otwarły się z impetem i do pokoju wbiegł... pies! Mały, biało-czarny terier, którego wyszczerzone zęby wyraźnie wskazywały, iż gotów jest do ataku. Co ten pies robi tutaj, w Glennhaven, miejscu, które od dawna jest schronieniem okolicznych kotów, zastanawiała się gorączkowo.

Gable'a ta kwestia ani trochę nie interesowała, wolał czym prędzej salwować się ucieczką, Prychając gniewnie, zeskoczył z kolan swej opiekunki, czym sprowokował czworonożnego przybysza do głośnego szczekania. Brooke z przerażeniem zerwała się na równe nogi. Tymczasem terier, który zdawał się w ogóle jej nie zauważać, ruszył w pogoń za kotem. Najkrótsza droga między zwierzętami biegła dokładnie przez punkt, w którym stała Brooke, więc pies bez wahania skierował się dokładnie w tą stronę. Dziewczynę ogarnęła panika. Chcąc jak najprędzej uciec przed zagrożeniem, uskoczyła w bok, niestety, w złym kierunku, gdyż niechcący nadepnęła na psia łapę. Intruz zawył rozdzierająco, co jeszcze bardziej ją przestraszyło.

Z holu dobiegł ją głęboki męski głos:

- Larry? Larry, gdzie jesteś, ty nieznośna psino?

Kot tymczasem skorzystał z chwili nieuwagi swego prześladowcy, by zwinnie wskoczyć na znajdującą się nad kominkiem półkę. Teraz wreszcie czuł się na siłach stawić czoło agresorowi. Zwykle łagodny wyraz jego pyszczka ustąpił miejsca wyjątkowo groźnej minie, a zjeżona na grzbiecie sierść miała przekonać napastnika o intencjach zagniewanego kota. Larry szczeknął raz jeszcze, a widząc, że nie przynosi to oczekiwanego efektu, rzucił się w kierunku kominka, potrapiając przy tym znajdującą się tam witrażową przesłonę. Szklana tafla z brzękiem roztrzaskała się o palenisko, czego pies w ogóle nie zauważył, tak był pochłonięty próbami schwytania kota. Jego nieustanne ujadanie, jakim dodawał sobie odwagi, przyprawiało Brooke o gęsią skórę. Wreszcie odwróciła się i ruszyła biegiem w kierunku drzwi. Potrzebowała broni, czegokolwiek, szczotki, kija, czegoś, co pomogłoby jej odciągnąć to okropne, hałaśliwe stworzenie od pupila panny Cory.

Niespodziewanie stanęła twarzą w twarz z nieznanym mężczyzną który zdawał się być równie tym zdumiony, zwłaszcza że nie zdążyła wyhamować i z impetem wpadła w jego ramiona. Jej nozdrza wypełnił lekki zapach dobrej wody po goleniu. Silne męskie ramiona przytrzymały ją przez krótki moment, po czym pomogły jej odzyskać równowagę. Na usta przybysza wypłynął, ciepły uśmiech. Brooke nie mogła oderwać spojrzenia od jego przystojnej twarzy. Zdawała sobie sprawę, że niegrzecznie tak się wpatrywać w obcą osobę, ale nie mogła nic na to poradzić. Wszystko było w nim doskonałe, poczynawszy od kruczoczarnych włosów, poprzez pełne humoru i inteligencji

spojrzenie orzechowych oczu, a skończywszy na pięknych, skorych do uśmiechu ustach.

Minęła dłuższa chwila, zanim Brooke uświadomiła sobie, że ten przebrzydły pies wciąż szczeka, bezskutecznie próbując wskoczyć na półkę, aby zrobić krzywdę niewinnemu kotu, który przed jego przybyciem spokojnie zajmował się własnymi sprawami.

- Czy to pański pies? - zapytała, wskazując drżąca, dłonią, na hałaśliwego czworonoga.

- Proszę go uspokoić.

- A co go tak zdenerwowało? - odparł nieznajomy, unosząc brwi.

Jego spojrzenie powędrowało od twarzy Brooke ku wściekle ujadającemu psu, aż wreszcie spoczęło na prychnającym gniewnie Gable'u.

- Ależ tu jest kot! - zauważył z nie skrywanym oburzeniem.

- Oczywiście - przytaknęła, nieco zdumiona tonem jego głosu.

Z ulgą, odnotowała fakt, że nieznajomy znalazł się już pomiędzy nią, a psem. Jeśli chodzi o koty, to nigdy w życiu się żadnego nie obawiała, ale każdy pies, nawet spokojny, wywoływał u niej nieprzyjemny dreszcz, a obecny tu przedstawiciel tego gatunku do najspokojniejszych nie należał.

- Skąd się tu wzięła kot? - chciał wiedzieć mężczyzna. - A przy okazji, co pani tu robi? Nie mam wprawdzie nic przeciwko temu, ale sama pani rozumie...

- Porządkuję dom przed przyjazdem nowego właściciela...

- W tym momencie dotarło do niej, z kim rozmawia. - Ojej...- wyrwało jej się.

- To właśnie ja. - Uśmiechnął się, wyciągając do niej ręką.

- Jestem Garrett Jackson. A pani zapewne nazywa się Brooke Hamilton.

- Tak. - Skinęła głową, podając mu dłoń. W chwili gdy wymieniali uścisk, po jej plecach przebiegł delikatny dreszczyk.

- Proszę- spojrzała błagalnie - niech pan coś zrobi z tym psem. Nie sadzę, żeby Gable'owi coś się mogło stać, ale... - przerwała na moment. - Ale to szczekanie za chwilę doprowadzi mnie do rozstroju nerwowego.

- Ja się już zdążyłem przyzwyczaić. - Ukłąkł, po czym pstryknął palcami. - Chodź, Larry. Chodź, staruszkule - poprosił łagodnym głosem.

Pies w ogóle się nie przejął, tylko obejrzawszy się szybko, zaczął szczekać jeszcze głośniejsze.

- Larry, chodź tu natychmiast - zażądał Garrett stanowczo, wskazując na bezcenny chodnik w orientalnym stylu.

Tym razem pies nawet nie zadał sobie tyle trudu, aby spojrzeć na swego pana.

- Do diabła - zaklął pod nosem Garrett, podnosząc się z klaczek. - Co mu się stało?

Owszem, bywa nieznosny, ale jeszcze nigdy się tak nie zachowywał.

- Może to w ogóle nie jest Lany - zasugerowała Brooke.

- Może to jego zły brat bliźniak.

Garrett roześmiał się serdecznie. Brooke nie mogła nie zauważyć, jak atrakcyjny był, gdy się uśmiechał, choć podejrzewała, że w każdej sytuacji wyglądał równie interesująco.

- Bardzo zabawne - powiedział w końcu. - Ale umiem sobie z nim poradzić.

- Tak? - mruknęła z powątpiewaniem. - Chciałabym to zobaczyć.

Zerknęła z niepokojem na kota, który w tej chwili zdawał się być bardziej zirytowany niż przestraszony. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, iż, podobnie jak ona sama, Gable ciekaw jest, jak rozwinie się sytuacja.

- Nie wierzysz mi? - Garrett przyjrzał się jej badawczo. - Założymy się?

- Nie ma mowy! - zawołała. - Nie mam natury hazardzisty. - Rzeczywiście, zwykle unikała jak ognia jakiegokolwiek ryzyka. - Chcę po prostu, żeby ta bestia dała spokój mojemu kotu.

- Dobrze, dobrze - mruknął, po czym wychylił głowę za drzwi.

Dało to Brooke możliwość swobodnej obserwacji jego doskonale zbudowanego ciała, odzianego w krótkie błękitne spodenki oraz białą, bawełnianą koszulkę. Pomyślała, iż to takie niesprawiedliwe, że po świecie chodzą ludzie o idealnym wyglądzie...

- Molly - zawołał. - Czy możesz tu przyjść, kochanie? Brooke uniosła brwi.

- Żona? Dziewczyna? Czy może jeszcze ktoś inny? - zapytała bez zastanowienia.

Garrett uśmiechnął się szeroko i odrobiną prowokująco.

- Córka - odparł.

- Ach, rozumiem. - Niemalże westchnęła z ulgą,

- Wątpią, ale nie szkodzi.

W drzwiach pojawiła się drobna postać. Uśmiech Garretta natychmiast nabrał niesłychanej czułości i ciepła.

- O, jesteś, słoneczko - powitała mała, - Jak myślisz, uda ci się odciągnąć uwagę Larry'ego od kota tej pani?

Dziewczynka kiwnęła twierdząco główką, po czym jej pełne powagi spojrzenie spoczęło na Brooke.

- Dzień dobry. Nazywam się Molly Jackson - przedstawiła się.

- A ja Brooke Hamilton. Miło mi cię poznać, Molly.

- Dziękuję - odparła z całą powagą dziewczynka. - Mam pięć lat. A pani?

Mała była urocza. Delikatne, jasne włoski otaczały wdzięczną twarzyczkę, a orzechowe oczy, takie same jak u ojca, spoglądały rezolutnie.

- Ja mam dwadzieścia pięć - wyjaśniła, czując na sobie wzrok Garretta.

- O, to jest pani prawie dorosła - zauważyła Molly.

- Chyba tak, choć czasem mam co do tego poważne wątpliwości. - Brooke z trudem powstrzymała wybuch śmiechu.

- A Gart ma trzydzieści dwa - poinformowała dziewczuska.

- Gart? - Zerknęła na stojącego obok mężczyznę. - Nazywa cię Gart?

- Nie wiem czemu, ale nie jest w stanie wymówić mojego imienia - odrzekł, kucając przed małą - Czy możesz zawołać Larry'ego, Molly? Tak hałasuje, że nie da się z nim wytrzymać.

- Jasne. Larry, chodź tu! Chodź! - zawołała władcym tonem, pstrykając przy tym paluszkami.

O dziwo, pies przestał ujadać, zaś już w następnej chwili wędrował posłusznie ku swej pani.

Brooke nie mogła wyjść z podziwu. Ona sama widziała w psach jedynie ostre pazury i mocne zęby, dlatego też dopiero kiedy Larry znalazł się u boku dziewczynki, odważyła się ruszyć w stronę kominka. Gable natychmiast ułożył się dookoła jej szyi, gdzie czuł się, naprawdę bezpiecznie. Wyglądał na poważnie zagniewanego.

- Przepraszam cię, Gable - szepnęła, drapiąc go za uchem. - To naprawdę nie moja wina.

- Przepraszasz kota? - zdumiał się Garrett.

- A czemu nie? Przecież to ja wpakowałam go w tę kabałę, nie powinnam była zabierać go tu ze sobą. Oczywiście... - Zawiesiła na chwilę głos, spoglądając znacząco na kolorowe kawałki szkła, pozostałość po witrażowej przesłonie. - To nie tylko moja wina. Wiesz, ile ten witraż był wart?

- Nie mam zielonego pojęcia - odparł, rozglądając się wokoło. - Nie wiem, ile mogą kosztować wszystkie inne przedmioty w tym mauzoleum. Brr, czuję się jak w grobowcu.

- W grobowcu?! - oburzyła się. - To nie żaden grobowiec, tylko piękny wiktoriański dom, pełen bezcennych antyków.

- Mnie zdecydowanie bardziej pociąga młodość - wyznał, mierząc ją spojrzeniem od stóp do głów.

Brooke nagle zaczęła żałować, iż nie ubrała się tego dnia w coś bardziej eleganckiego od dżinsów i kraciastej koszuli.

- Musisz się więc pogodzić z tym, że odziedzyczyłeś same stare rzeczy - odparowała. - Zresztą wszyscy w tych okolicach jesteśmy staroświeccy. Za to mamy telefony.

- Czy pijesz do mnie? - zainteresował się Garrett, najwyraźniej nie zbity z tropu tą wymówką

- Cóż, nie spodziewałam się ciebie jeszcze co najmniej przez tydzień.

- Próbowałem się dodzwonić do was już od czterech dni, odkąd Molly i ja wyjechaliśmy z Chicago - wyjaśnił, czule głaszcząc miękkie loki dziewczynki. Ani na moment nie spuszczał przy tym wzroku z Brooke.

- Przyjechaliście samochodem? - zdumiała się.

No tak, jakim innym środkiem komunikacji mogli przetransportować to okropne psisko, które w tej chwili z pasją oddawało się lizaniu raczki swej właścicielki. Garrett potwierdził skinięciem głową

- Dobrze się przy tym bawiliśmy, prawda, Molly? Psy trochę nam się dawały we znaki, ale...

- Psy?! - powtórzyła ze zgrozą Brooke, rozglądając się przy tym trwożnie. - To znaczy, że jest ich więcej?

- Musiałem zabrać starego Barona. To owczarek niemiecki, ale nie jest nawet w połowie tak hałaśliwy, jak Larry.

- Zapewne najpierw odgryza rące, a potem zastanawia się, czy dobrze zrobił - prychnęła.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie lubisz psów? - zapytał Garrett, unosząc brwi.

- Chcę przez to powiedzieć, że nie rozumiem, jak ktokolwiek może lubić psy. Są duże, złośliwe, gryzą kopyta dołki i... - Tu zerknęła znacząco za siebie, gdzie leżały kawałki potłuczonego szkła. - I tłuką wszystko dookoła.

- W przeciwieństwie do kotów, które są małe, złośliwe, przebiegłe, mają ostre zęby oraz pazury, doskonałe do drapania mebli i rozdierania ubrań - odparował.

- Cóż za tupet! - wykrzyknęła Brooke, instynktownie mocniej przyciskając do siebie Gable'a, który zachował się nader niewdzięcznie, bowiem wyrwawszy się jej, zeskoczył na aksamitną sofę, by bez chwili namysłu wbić ostre pazurki w miękkie obicie. Widząc to, Garrett uśmiechnął się triumfalnie.

- Przepraszam, poniosło mnie. Cofam tę uwagę o niszczeniu mebli.

- Przepraszam, przyjęte. - Odwzajemniła jego uśmiech. - Gable, przestań natychmiast.

- Czy mogą pogłaskać twego kota? - poprosiła niespodziewanie Molly.

Brooke spojrzała najpierw na dziewczynkę, a następnie na jej ojca, który kiwnął przyzwalająco głową

- Ale najpierw wyprowadzą Larry'ego do holu - powiedział.

- Dobry pomysł - zgodziła się Brooke. - Miałaś kiedyś kota, Molly?

- Nie - odparła mała niesłychanie poważnym głosem. - Tylko psy. Dostałam Larry'ego, gdy był szczeniakiem.

- Koty są dużo miłsze - stwierdziła Brooke. - Musisz tylko pamiętać, że nie wolno ich na siłę brać na rące. Bardzo tego nie lubią. Najlepiej zrobić tak, żeby myślały, że to był ich pomysł...

To powiedziawszy, powoli i ostrożnie sięgnęła po Gable'a, który łaskawie pozwolił jej wziąć się na rące.

- Teraz usiądź - poinstruowała dziewczynkę. - Posadzę ci go na kolanach. Jeśli go nie spłoszysz, może zdecyduje się zostać, ale jeśli zechce sobie pójść, nie zatrzymuj go na siłę, dobrze?

- Dobrze - odparła Molly pełnym przejęcia głosem. Usadowiwszy się na sofie, wygładziła błękitną spódniczkę i spojrzała wyczekująco na Brooke.

- Masz być grzeczny, słyszysz? - szepnęła Brooke wprost do kociego ucha, po czym powoli ułożyła Gable'a na kolanach dziewczynki.

Nowa opiekunka wyraźnie przypadła mu do gustu, gdyż nie minęło kilka chwil, a zaczął głośno mruczeć.

- On warczy! - zawołała Molly, patrząc z niepokojem na Brooke.

- Ależ nie! - uspokoiła małą ze śmiechem. - Mruczy, a to znaczy, że cię polubił. Możesz teraz spróbować delikatnie podrapać go za uchem. Bardzo to lubi.

- A ja lubię jego! - wyznała dziewczynka. - Och, Gable- westchnęła, po czym z tego wielkiego uczucia uściskała kota serdecznie.

Oczywiście to już było zbyt wiele dla szanującego się kota, toteż Gable zwinnie wysliznął się z objąć małej, a chwilę później już wspinał się po ciężkich kotarach w kierunku swej ulubionej półki z książkami.

- Zrób coś, żeby wrócił - prosiła ze łzami w oczach Molly. Brooke przytuliła mocno dziewczynkę, gładząc ją, delikatnie po ramieniu.

- Nie mogę, kochanie - odparła. - Nie da się zmusić kota, by zrobił coś, czego sam nie chce. Cały dowcip polega na tym, żeby myślał, że tak naprawdę to robi to, co sam chce, a nie coś, czego ty od niego oczekujesz.

Garrett, który stał oparty o futrynę, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, parsknął w tym momencie śmiechem.

- Mówimy teraz o kotach czy o kobietach?

- Bardzo zabawne! - odparła Brooke, marszcząc brwi. Uśmiechnął się prowokująco.

- A tak poważnie, to nie mamy teraz czasu na zabawy z kotami - zwrócił się do Molly. - Mówiłaś, że jesteś głodna, więc chodźmy poszukać kuchni, a jak już ją znajdziemy, to może dostaniemy coś do jedzenia.

- Jest już po pierwszej. Czy mała nie jadła jeszcze obiadu? - zaniepokoiła się Brooke.

- Nie, ale to nic, na pewno coś się znajdzie. Nie jesteśmy wybredni.

- Ale w kuchni nie ma absolutnie nic do jedzenia. Kucharka wszystko posprzątała, zanim odeszła - poinformowała Brooke, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego aż tak bardzo ją, obchodzi, jak ci dwoje sobie poradzą,

- Ojej - westchnął Garrett. - Wygląda na to, że bądziemy musieli pojechać do miasta, żeby cię nakarmić. - Uśmiechnął się do dziewczynki.

Brooke czuła, że wpada w pułapkę, ale nic nie mogła na to poradzić.

- Gdybyś zadzwonił, zrobiłabym wam zakupy.

- Przecież powiedziałem już, że próbowałem - przypomniał. - Zdaje się, że były jakieś problemy na łączach.

Wprawdzie nie było jej nic o tym wiadomo, ale nie mogła wykluczyć tej możliwości.

Sieć telefoniczna w tych okolicach tak często zawodziła, iż nigdy nie można było mieć pewności, że uda się gdzieś dodzwonić.

- Dobrze więc, jeśli faktycznie nie jesteście tacy wybredni, to może...

- Dziękujemy! Bardzo chętnie! - zawołał, nie dając jej dokończyć.

- Ale żadnych psów - zapowiedziała ostro. - Ty i Molly jesteście zaproszeni, psy natomiast nie mają wstępu.



Po cichu liczyła, że ten zakaz może zdoła go zniechęcić. Tymczasem on, zamiast protestować, skinał głową

- Mamy jedzenie dla psów - poinformował. - Tylko Molly i ja głodujemy, prawda, kochanie? - Ujął dziewczynkę za rączkę.

Mała kiwnęła potakująco, wpatrując się intensywnie w Brooke, która dokładnie zdawała sobie sprawę, że jednak znalazła się w pułapce. Nie miała innego wyjścia, jak tylko namówić Gable'a, aby zechciał zejść z półki, a potem zaprowadzić gości do swej kryjówki, która, jak podejrzewała, nigdy już nie będzie taka sama po wizycie Garretta Jacksona.

Garrett nie miał najmniejszej ochoty przywiązywać swych psów do drzewa rosnącego przed tym okropnym, ponurym domiszczem, należącym do jego zmarłej ciotecznej babki. Wiedział jednak doskonale, że śliczna Brooke Hamilton obserwuje go uważnie, dlatego z ciężkim westchnieniem dokonał tego haniebnego postępu. Był gotów dać sobie rękę uciac, że to rude kocisko uśmiechało się złośliwie, widząc niedolę jego piesków. Postanowił kompletnie zignorować tego pokrakę, ponieważ zamierzał skupić się wyłącznie na pełnej wdzięku pannie Hamilton, która od pierwszej chwili wpadła mu w oko. Odniósł zaskakujące wrażenie, że albo nie jest w ogóle świadoma swej urody, albo też zupełnie jej to nie obchodzi. Jej strój zdradzał kompletny brak zainteresowania sprawami mody, a twarz nie nosiła śladu makijażu.

Nie był przyzwyczajony do kobiet o naturalnym wyglądzie, ale musiał przyznać sam przed sobą, że taki styl był niesłychanie pociągający. Podobały mu się jej lśniące jasnobrazowe włosy, miękko otaczające uroczą twarz o wysokich kościach policzkowych i zmysłowo zarysowanych ustach. Inteligentne spojrzenie jej piwnych oczu jednocześnie przyciągało go i odpychało. Przyciągało, ponieważ stanowiło zapowiedź pogody ducha i poczucia humoru, odpychało zaś ze względu na jego złe doświadczenia z nazbyt inteligentnymi przedstawicielkami płci pięknej. Nie lubił, gdy ktoś zagląda mu w serce. Wolał bardziej powierzchowne kontakty. Żadnych zobowiązań, żadnych wyrzutów. Łatwo przyszło, łatwo poszło. Oczywiście, jedynym tu wyjątkiem była Molly.

Zerknął na dziewczynkę, która stała pod obrośniętym dzikim winem dachem, wspinając się na palce, by pogłaskać tego przebrzydłego kota. Garrett był niezmiernie zadowolony, iż podczas tej kilkudniowej podróży udało mu się zbliżyć do małej i choć nie zamieniła się w gadułę, okazywała żywe zainteresowanie tym, co mijali po drodze.

- Jestem gotowy - oznajmił wreszcie nieco oschłym tonem. Brooke posłała mu lekki uśmiech. Po raz kolejny miał okazję stwierdzić, jak piękne są jej usta...

- Psy przywiązane? - upewniła się, jakby z niepokojem.

- Tak, chociaż zrobiłem to z ciężkim sercem. Mam nadzieję, że nie spodziewasz się, że...

- Ależ tak - przerwała mu, poprawiając na ramieniu tę pomarańczową bestię. - To jedyne rozwiązanie.

- Rozwiązanie czego? - zdziwił się.

- Problemu, jak utrzymać twoje psy i moje koty w bezpiecznej odległości.
- Nie widzę żadnego problemu. - Dołączył do Brooke i Molly, które ruszyły powoli kamienistą dróżką - Przecież chodzi tylko o dwa psy i dwa koty, łącznie cztery zwierzęta.
- Jest trochę inaczej, niż sądzisz. - Posłała mu pełne obawy spojrzenie.
- Co znaczy inaczej?
- Mam trochę więcej niż dwa koty - wykrztusiła.
- Trochę więcej, to znaczy ile? - jęknął.
- Cóż... cztery. Cztery własne - uzupełniła.

Doszli do porośniętej bluszczem furtki. Otworzywszy ją Garrett spostrzegł cel ich wędrówki - dawny domek odźwiernego, który babcia Cora w swym szaleństwie zapisała wraz z akrem ziemi właśnie Brooke Hamilton. Grunt ten miał nietypowy kształt patelni, przy czym „rączka” stanowiła drogą dojazdową do ulicy, przez co zapewniała kontrolę nad dostępem do głównego budynku. W ten sposób przyszłość Glennhaven została zagrożona. Garrett uważał, że albo jego babka była osobą niespełna rozumu, albo też Brooke w rzeczywistości była zdecydowanie mniej niewinna, niż mu się początkowo zdawało.

- Cztery własne koty? - powtórzył, gdy nagle dotarło do niego znaczenie jej słów.
- Zdaje się, że nic nie wiesz o mojej małej firmie - westchnęła.
- Prowadzisz firmą w tym małym domku? - Nie mógł uwierzyć własnym uszom. Brooke zatrzymała się niespodziewanie, by postawić na ziemi kota.
- Ucieknie! - zawołała z przerażeniem Molly.
- Nie martw się, kochanie. - Brooke ująła dziewczynkę za rączkę. - Nie ucieknie, tylko zaprowadzi nas do domu. Bardzo lubi biegać sobie między drzewami.
- Czy ja też mogę pobiec? - Molly patrzyła błagalnie to na Garretta, to na nią - Mogę? Mogę?

Brooke zwróciła ku niemu proszące spojrzenie.

- Nic się nie stanie. Dom jest tuż, tuż, będziemy ją cały czas mieli na oku. Nie bardzo podobał mu się ten pomysł, ale jeszcze mniej rozczarowana mina małej. Może rzeczywiście był nadopiekuńczy, tak jak twierdziło to wiele osób?
- Jeżeli jesteś pewna... - zaczął.

To już wystarczyło Molly, która natychmiast pomknęła jak strzała. Brooke uśmiechnęła się ciepło na ten widok.

- Mówiłaś o swojej firmie - przypomniał po chwili.
- Ach tak, rzeczywiście. Prowadzę niewielki hotelik dla...
- Hotelik?! - jęknął. - Czy to znaczy, że całymi dniami i nocami włączą się tu tłumy obcych ludzi?
- Nie, oczywiście, że nie - roześmiała się. Nie uszło jednak jego uwagi, że za plecami nerwowo splatała i rozplatała dłonie.
- W takim razie nic nie rozumiem.

- To nie jest hotelik dla ludzi. Podpowiem ci. Nazywa się Koci Kapik. Zanim zdążył zareagować, zakreśliła się w miejscu i pobiegła śladem Molly oraz Gable'a. Garrett natomiast stał jak wryty, tak był wstrząśnięty usłyszaną przed chwilą informacją. Odziedziczył bowiem posiadłość, w której panoszyły się zwierzęta, należące do gatunku od wieków tradycyjnie znieawidzonego przez całą jego rodzinę.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Brooke starała się zapomnieć o swych uprzedzeniach, prowadząc gości do Kociego Kącika. Może Garrett nie okaże się tak wielkim przeciwnikiem kotów, jak sądziła? Może nie będzie z niej szydził? Akurat, prędeż mi tu kaktus wyrośnie, westchnęła w duchu.

Podążając za nią krok w krok, nawet na moment nie okazał żadnej reakcji. Nie dał jej wprowadzić do zrozumienia, iż potępia takie praktyki, co już było wystarczającym osiągnięciem, ale Brooke smuciło, że choć tak się starała, nie ujrzała w jego oczach nawet cienia aprobaty. Mimo to nie ukrywała, jak dumna jest ze swego przedsięwzięcia.

- Oczywiście, odbywało się to za wiedzą i zgodą panny Cory - dodała otwierając szeroko drzwi do domku. - Nic z tego, co tu zobaczycie, nie zostałoby wykonane, gdyby nie jej zrozumienie i całkowite wsparcie.

Weszli do dużego, przytulnego pomieszczenia, gdzie wzdłuż ścian znajdowało się dziesięć domków dla kotów, środek zaś zajmował stół, przy którym pracowała Brooke. Każdy z domków posiadał własne okienko, przez które jego mieszkaniec mógł obserwować ptaki. Koty miały również swobodny dostęp do tarasu, gdzie mogły niepokojone wygrzewać się do woli.

Garrett patrzył na to wszystko szeroko otwartymi oczyma.

- Chyba żartujesz - odezwał się wreszcie, gdy już objaśniła, do czego służą, poszczególne udogodnienia.

- Oczywiście, że nie - obruszyła się. - A czego się spodziewałeś? Żelaznych klatek?

- Szczerze mówiąc, tak.

- Zajmują się tym hotelikiem dlatego, że kocham koty i nie jestem sadystką - odparowała.

Pochyliła się, by pieszczotliwie podrapać za uchem smukłą, czarną kotkę o imieniu Chloe.

- Nie powiesz mi chyba jeszcze, że serwujesz swym gościom śniadania do łóżka - zakpił.

- Jasne, jeśli mają, na to ochotę.

- Prawdziwi z nich szczęściarze - westchnął Garrett, spoglądając na nią niebezpiecznie lśnięcymi oczyma.

Spostrzegłszy ten wzrok, Brooke szybko odwróciła się i ujęła Molly za rączkę.

- Najwyższa chyba pora, by zrobić wam coś do zjedzenia. - Uśmiechnęła się do dziewczuszki.

- Czy mogę pogłaskać kotki? - poprosiła niespodziewanie mała.

- Może później. - Brooke wolała nie wystawiać na próbę cierpliwości jej ojca.

Zaprowadziła swych gości do zajmowanej przez nią części domu, która była urządzona w szalenie eklektycznym stylu, ponieważ Brooke nie mogła się zdecydować, czy woli staroświeckie, czy nowoczesne meble, dlatego też wybrała te, które wydawały jej się najbardziej użyteczne i wygodne. Dzięki temu salon miał niepowtarzalny charakter i sprawiał wrażenie przytulnego.

- Chodźmy najpierw do kuchni - zaproponowała. - Zobaczymy, co...

W tym momencie Molly niespodziewanie wyrwała rączkę z jej dłoni i z głośnym okrzykiem rzuciła się w kierunku otomany, gdzie drzemała Carole Lombard, drugi z należących do panny Cory kotów. Było to rzeczywiście piękne zwierzę, jak gdyby stworzone do tego, by się nim zachwycaly małe dziewczynki. Nie sposób było nie przytulić się do jego mięciutkiego, śnieżnobiałego futerka, czy też nie podziwiać lśniących, intensywnie niebieskich oczu. Carole pisnęła zdumiona, ale nie uciekła swej nowej adoratorce. Co więcej, pozwoliła się przytulić, a następnie posadzić na kolanach, co wprawiło Brooke w niepomierne zdumienie.

- Jak ona się nazywa? - wyszeptła zauroczona Molly.

- Carole Lombard - odparła z uśmiechem Brooke, zastanawiając się jednocześnie, jak to możliwe, by dziewczynka, która pała tak wielką miłością do kotów, była właścicielką, jazgotliwego psa.

- Jest wspaniała, uwielbiam ją, - oświadczyła mała.

- Zdaje się że ty też przypadłaś jej do gustu. Zawołam cię, kiedy jedzenie będzie gotowe. Ruszyła w kierunku kuchni, gdy napotkała chmurne spojrzenie Garretta.

- Jeśli chcesz, możesz zostać tu z Molly - zaproponowała z nadzieją, w głosie.

- Wolałbym raczej pójść z tobą - Uśmiechnął się zaczepnie. - Mamy parę tematów do przedyskutowania.

Brooke westchnęła w duchu. Była przekonana, że ta dyskusja nie będzie przebiegała po jej myśli.

Garrett przysiadł na wysokim kuchennym stołku, przyglądając się, jak Brooke przygotowuje dla nich zapiekane kanapki z serem oraz wielki dzbanek lemoniady.

- Jak dobrze znałaś moją ciotecznią babkę? - zapytał, przerywając milczenie.

- Bardzo dobrze. Może nawet lepiej niż ktokolwiek inny - odparła, zaglądając do kredensu. - Pracowałam dla niej przez cztery lata. - Wydobyła z szafki solidny żelazny ruszt i postawiła go na kuchence.

- A jaki charakter miała twoja praca?

- Robiłam wszystko, co w danej chwili było potrzebne. - Wzruszyła ramionami. Pod jego badawczym spojrzeniem czuła się taka niezręczna i niezgrabna. - Opiekowałam się kotami, kierowałam służbą, kucharką, gosposią, ogrodnikiem. Czasami panna Cora

zatrudniała kogoś do specjalnych prac, wtedy też zajmowałam się tymi osobami. Na przykład kiedyś wynajęła robotników do wykopania basenu w miejscu ogrodu różanego.

- A po co? - zdziwił się. - W jej wieku chyba... Przerwał mu wesoły śmiech Brooke.

- Chyba jej w ogóle nie znałeś, bo inaczej nie zadawałbyś takich pytań.

- Nie rozumiem.

- Panna Cora miała już dosyć pływania w zatłoczonym basenie klubu sportowego - wyjaśniła.

Garrett uśmiechnął się z niedowierzaniem.

- Zdaje się, że była to nietuzinkowa postać.

- Można tak powiedzieć. Szkoda tylko, że nie miałeś okazji jej poznać.

- Czy opowiadała ci może o... O skandalu rodzinnym? -zapytał z pewnym wahaniem.

- Nie. Szczerze mówiąc, nie wiedziałam nawet, że ma jakąkolwiek rodzinę.

- Bo nie miała, przynajmniej nie najbliższą Mojego nazwiska nawet nie było w testamencie, po prostu zostałem już tylko ja jeden, nie licząc kilku dalekich kuzynów.

- Cieszę się że jednak ktoś się odnalazł - wyznała szczerze. - Nie miałam pojęcia, kto będzie jej spadkobiercą, aż do momentu odczytania jej ostatniej woli.

- Ale wiedziałaś chyba, że zapisała ci ten domek - zasugerował, rozglądając się dokoła.

- Oczywiście, że nie!

- I wcale nie zachęcałaś jej, żeby postawiła te absurdalne warunki? - W jego głosie wyraźnie słychać było powątpiewanie.

Brooke położyła przygotowane kanapki na rozgrzanym ruszcie.

- Jakie absurdalne warunki?

- Te dotyczące sprzedaży.

Słyszając to, odwróciła się na piecie i z wypiekami na twarzy, spojrzała mu prosto w oczy.

- Ależ nie możesz sprzedać domu! - zawołała z oburzeniem.

- Założysz się?

Przygryzła dolną wargę i aby dać sobie więcej czasu na odpowiedź, odwróciła się, by sprawdzić, co z zapiekankami.

- Członek rodziny panny Cory ma zamieszkać w jej domu, bo w przeciwnym razie cała posiadłość zostanie przekazana hrabstwu Boulder na schronisko dla kotów - odezwała się po dłuższej chwili.

Usłyszała, jak Garrett podnosi się ze stołka, podchodzi do niej i staje tuż za jej drżącymi plecami.

- Nie bądź naiwna. Jestem prawnikiem, potomkiem rodu prawników. Zamierzam zostać tu tylko tyle czasu, ile zajmie mi znalezienie dobrego kupca.

- Ależ tak nie można! - wykrzyknęła odwracając się do niego. - Jak mógłbyś żyć ze świadomością, że sprzeniewierzyłeś się ostatniej woli swej ciotecznej babki? Czy kwestia wyrzutów sumienia nie stanowi dla ciebie żadnego problemu?

Garrett uśmiechnął się tak, że aż jej zaparło dech w piersiach.

- Jeśli chodzi o problemy, to faktycznie będę miał jeden i to poważny - przyznał cicho.

- To dobrze - odetchnęła z ulgą

- Mój problem jest bardziej skomplikowany, niż ci się zdaje - wyjaśnił powoli. - Muszę odkupić od ciebie zarówno domek, jak i działkę, by móc sprzedać posiadłość.

- Nigdy w życiu! - zapowiedziała, unosząc wysoko podbródek.

- Nigdy nie mów nigdy. - To powiedziawszy, złapał ją za ramiona. Jego uścisk nie był wprawdzie silny, ale stanowczy, tak by przekonać ją iż nie są to żarty.

- Ale moje koty... mój dom... - wykrztusiła patrząc na niego z przerażeniem. - Nigdy nie sprzedam ci domu. Nie prosiłam o niego ani też nie spodziewałam się że go otrzymam, ale skoro panna Cora postanowiła mi go podarować, zamierzam uszanować jej wolę. Na pewno byłaby bardzo szczęśliwa, widząc, że nadal robię to, co za jej życia

- Cora nie żyje, ja natomiast tak. Zapłacę ci tyle, żebyś mogła przenieść się gdzieś z całym tym interesem i jeszcze dobrze z tego żyć.

- Ależ ja nie chcę się nigdzie przenosić - zaprotestowała.

- Bądź rozsądna, Brooke - przekonywał ją swym pięknym, głębokim głosem. - Nie mam pojęcia, o co staruszcze chodziło, ale taki podział terenu znacznie obniża wartość całej posiadłości. Nie chcesz chyba dopuścić do tego, abym nie mógł zrobić jak najlepszego użytku z mojej części spadku.

Wpatrywała się w niego w milczeniu, bezradna wobec tego skądinąd słusznego i zdroworozsądkowego argumentu. W dodatku jego fizyczna bliskość bynajmniej nie nastrojała do tak poważnych rozważań. Nie miała pojęcia, jakie przytoczyć racje na obalenie toku jego rozumowania.

Zapewne stałaby tak dłużej, szukając odpowiednich słów, gdyby do kuchni nie weszła Molly z Carole Lombard na rękach. Mała wciągnęła głęboko powietrze w płuca.

- Co się pali? - zainteresowała się.

- Ojej! - zawołała Brooke, odwracając się na piacie, by zdjąć ruszt z kuchenki.

Niestety, było już za późno. Kanapki były po jednej stronie złocistobrazowe, po drugiej natomiast, jak to określiła Molly, złocistoczarne. Na szczęście nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, bo dzięki spalonym kanapkom nie musiała chwilowo szukać odpowiedzi na przytoczone przez Garretta argumenty.

Przygotowując drugą porcję zapiekaneq, zastanawiała się nad tym, co od niego usłyszała. Bez wątpienia nie zależało mu na wypełnieniu ostatniej woli panny Cory. Chciał po prostu zarobić na tym interesie jak najwięcej pieniędzy w jak najkrótszym czasie, by móc szybko wrócić do Chicago, nie przejmując się zupełnie tym, co się stanie z nią, kotami i wszystkim innym. To egoista! Rzuciła mu pogardliwe spojrzenie, którego on nawet nie zauważył, tak był pochłonięty rozmowa z dzieckiem. Na nieszczęście był przy tym zdecydowanie najprzystojniejszym egoistą, jakiego w życiu spotkała. Oznaczać to mogło tylko jedno: kłopoty.

Po tym, jak Garrett odkrył przed nią cel swego przyjazdu, Brooke całkowicie straciła apetyt. Jej goście natomiast jedli, aż im się uszy trzęsły, co dawało jej wyśmienitą okazję do obserwacji. Zauważyła, iż Garrett zupełnie się zmieniał, gdy zwracał się do swej córeczki. Był wtedy czuły i delikatny, całkowicie skoncentrowany na jej niewielkiej osobce.

Dziwny to był związek, skoro córka zwracała się, do ojca po imieniu. W dodatku w dziewczynce było tyle smutku i powagi. Owszem, zachowywała się grzecznie i uprzejmie, ale sprawiała przy tym wrażenie zamkniętej w sobie, co wydawało się co najmniej dziwne u pięciolatki. Brooke czuła, jak robi jej się ciepło wokół serca, ilekroć dziewczynka zwracała ku niej spojrzenie swych pięknych, orzechowych oczu. Miała ochotę podejść i przytulić Molly z całej siły. Ciekawe, co się działo z matką dziewczynki? To pytanie nurtowało Brooke do końca posiłku, aż do chwili, gdy mała grzecznie podziękowawszy, zsunęła się ze stoika.

- Czy mogą odejść od stołu? - poprosiła. - Koty mnie potrzebują

- Możesz - westchnął Garrett. - Ale nie baw się z nimi za długo, bo zaraz idziemy do domu.

- Mnie się tutaj bardziej podoba - odparła dziewczynka, zerkając to na ojca, to na Brooke.

- Mimo to... - zaczął.

Molly wyraźnie zrozumiała, co chciał przez to powiedzieć, gdyż kiwnęła główką, i wybiegła z salonu.

- Jest urocza - zauważyła Brooke, gdy mała zniknęła.

- Też tak uważam - odparł Garrett w zamyśleniu.

- A jej matka... ? - wyrwało jej się.

- Nie żyje.

- Och, tak mi przykro.

- Dziękuję - powiedział, podnosząc serwetkę do ust. - Jedzenie było pyszne. Jeszcze raz dziękuję.

- Proszę bardzo. Garrett, jeśli chodzi o to, co powiedziałeś wcześniej... o sprzedaży posiadłości...

- Naprawdę zamierzam to zrobić.

- Rozumiem - westchnęła ciężko. - Miałam nadzieję, że może nastąpiło nieporozumienie...

- Proponuję, żebyśmy na razie zostawili ten temat i powrócili do niego, gdy Molly i ja trochę się tu zadomowimy.

- Oczywiście, skoro tak mówisz... - W jej głosie pobrzmiwała nuta rozczarowania.

- Mamy mnóstwo czasu.

To powiedziawszy, wstał i przeciągnął się leniwie. Nie mogła odwrócić wzroku od jego muskularnej sylwetki. Aby skierować swą uwagę na inne tory, zaczęła zbierać ze stołu talerze.

- Pewnie masz rację - mruknęła.

- Wiem, że... A niech to!

Zaniepokojona odwróciła się szybko. Garrett przyglądał się swoim stopom pełnym oburzenia wzrokiem. Gdy powędrowała za jego spojrzeniem, ujrzała Gable'a, który jak gdyby nigdy nic ocierał się o jego nogi.

Brooke wybuchła szalonym śmiechem.

- Gable zapewne przeżywa jakieś załamanie nerwowe, bo inaczej nigdy nie łąsiłby się do zdeklarowanego miłośnika psów - zauważyła.

- Nie o to chodzi. - Garrett pokręcił głową - Po prostu zwierzęta mnie lubią Nawet koty... zupełnie nie mam pojęcia dlaczego - westchnął boleśnie.

- Akurat - prychnęła. - Koty są znacznie bardziej wybredne, niż ci się wydaje. Jestem pewna, że Gable lubi cię tak samo, jak ty jego, po prostu próbuje cię wyprowadzić z równowagi.

- W takim razie udało mu się - burknął, siadając z powrotem na stołku, z kolanami podciągniętymi pod brodą.

Kot posłał mu pełne wyrzutu spojrzenie, po czym wyszedł z pokoju.

Garrett odetchnął z ulgą

- Nienawidzę tego - wyznał. - Nie mam pojęcia, dlaczego, ale koty mnie lubią Nie dają mi wręcz spokoju.

- Nie wierzę- stwierdziła Brooke, przewracając oczyma.

- Założysz się?

- O co ci chodzi z tymi zakładami? - zainteresowała się.

- Jesteś nałogowym hazardzistą czy co?

- Po prostu nie boję się odrobiny ryzyka w życiu.

- Czy sugerujesz, że ja się boję? - zaperzyła się.

- Ty to powiedziałaś... - Wzruszył ramionami.

- To nieprawda Po prostu nie sadzę, by ryzykanctwo było czymś pożytecznym - odparowała czując przy tym, że się rumieni.

- Może się mylę, ale zakładanie się, czy kot wykaże choć odrobinę inteligencji, czy też nie, nie jest przejawem ryzykanctwa - argumentował. - To jak? Załóżmy się, że zdążę się zaprzyjaźnić z twymi kotami, zanim ty obłaskawisz moje psy. Zaproponuj stawkę. Tylko wymyśl taką którą będziesz mogła zapłacić. - Mrugnął porozumiewawczo.

- Nie ma mowy!

- A więc o jaką stawkę gramy? - zignorował jej protest.

- Mam! Skoro prowadzisz hotelik, to niech zwycięzca dostanie śniadanie do łóżka.

- A może... - zaczęła, zanim zdążyła się zorientować, że dała się wciągnąć w jego gierkę.

- A może damy sobie spokój z tym zakładem? Koty nie dają się nabrać na tanie sztuczki, ja zresztą też nie.

W tym momencie zadzwieczał dzwonek do drzwi. Brooke w głębi serca ucieszyła się, iż przerwano im tę rozmowę, która stawała się coraz bardziej niezręczna. Szybkim



krokiem podążyła do holu, za nią zaś postępował Garrett. Za drzwiami stała pani Grace Swann, przytupując niecierpliwie. Jej szofer czekał dwa kroki za nią, trzymając w objęciach puchatego beżowego kota.

Brooke powitała ją, ze swych najwierniejszych i najbogatszych klientek szerokim uśmiechem.

- Dzień dobry, pani Swann. Widzę, że przywiozła pani Pookiego. Jego pokój już czeka.

- Wiedziałam, że na pani można polegać, moja droga. - Kobieta weszła do środka, po czym upierścienioną dłonią dała znak szoferowi. - Higgins, proszę zaprowadzić Pookiego do jego pokoju.

Szofer przewrócił oczyma, ale zachował poważny wyraz twarzy. Pracował dla Grace Swann wystarczająco długo, by traktować pobłażliwie jej fanaberie. Starsza pani pochylała się nad swoim pupilem.

- Bądź dobrym chłopczykiem - poprosiła przymilnym głosem, drapiąc go za uchem. Pookie nie okazał nawet cienia zainteresowania.

Higgins pomaszerował posłusznie przez korytarz, niosąc prawie ośmiokilogramowego kota w ten sam sposób, w jaki niósłby tacę pełną eleganckich drinków.

- Co to jest, lew? - wyszeptał z niesmakiem Garrett. Uwagę tę usłyszała nie tylko Brooke, ale niestety również i pani Swann.

- To kot, młody człowieku - odpowiedziała wyniośle, mierząc go pełnym dezaprobaty wzrokiem. - W dodatku czempion. Czy mogę się dowiedzieć, kim pan właściwie jest?

- To Garrett Jackson - pospieszyła z odpowiedzią, Brooke. - Cioteczny wnuk panny Cory. Przyjechał, aby...

- Garrett Jackson? - przerwała jej pani Swann. - W takim razie wiem, kim jest i po co przyjechał. Proszę nie zapominać, że przez pięćdziesiąt lat byłam najlepszą przyjaciółką Cory, więc wiem wszystko.

- Wobec tego chylę przed panią czoło. Bardzo miło mi panią poznać - powiedział ze szczerym uśmiechem, wyciągając rękę ku starszej pani.

- Niech pan nie będzie tego taki pewny - ostrzegła, ignorując jego wyciągniętą dłoń. Widać było jednak, że nie była w stanie oprzeć się jego urokowi, gdyż w kącikach jej ust pojawił się leciutki uśmiech. - Czas pokaże.

- Tak, proszę pani. - Uśmiechnął się ponownie.

- Czy ma pani jakieś pytania, moja droga? - Pani Swann zwróciła się do Brooke.

- Czy nastąpiły jakieś zmiany w diecie albo zwyczajach Pookiego od czasu jego ostatniej wizyty?

- Nie.

- W takim razie chciałabym tylko wiedzieć, jak długo tym razem u nas zabawi.

- Nie jestem pewna, ale prawdopodobnie całe lato. Planuje, odwiedzić krewnych na Rhode Island, a potem wybieram się do Madrytu, gdzie będziemy kręcić film - wyliczała starsza pani. - Nie wiem jeszcze, dokąd stamtąd pojedziemy, ale postaram się jak najczęściej tu zaglądać, żeby sprawdzić, jak się czuje mój aniołek.

- To dobrze - ucieszyła się Brooke. - Wprawdzie poświęcam mu tyle czasu, ile mogę, ale wiem, że zawsze bardzo za panią, tęskni.

Pani Swann wyraźnie się ucieszyła, słysząc to.

- Proszę się nim dobrze opiekować, to mój największy skarb. Nie zostawiłabym go z nikim innym, tylko z panią, moja droga.

- Bardzo mi miło - uśmiechnęła się wdzięcznie Brooke. Gdy znalazły się z powrotem przed domem, starsza pani pochyliła się w jej kierunku.

- I proszę trzymać Pookiego z dala od tego młodego człowieka - powiedziała konspiracyjnym szeptem. - Jest zbyt przystojny, by mu ufać. Może mi pani wierzyć, wiem coś o tym.

Brooke z trudem powstrzymała wybuch śmiechu, choć w duchu przyznała, że pani Swann może mieć w tej kwestii całkowitą rację.

Tymczasem Garrett z ciekawością przyglądał się Brooke, która szeptała na werandzie z tą dziwną kobietą. Nie przypuszczał wprawdzie, że mówią coś szczególnie interesującego, pewnie dyskutują o kotach, ale od zawsze ciekawili go dopiero co poznani ludzie.

Wreszcie pojawił się szofer, po czym wraz ze swą chlebodawczynią majestatycznie odjechał łśniącym Bentleyem. Chwile później Brooke stanęła w drzwiach domu. Garrett ostrzegawczo położył palec na ustach, a następnie wskazał śpiącą na sofie Molly, pod której głową leżała Carole Lombard, służącą jej za poduszkę. Widok ten wywołał na dotąd spiętej twarzy Brooke tkliwy uśmiech.

Garrett nigdy nie mógł pojąć, dlaczego większość kobiet ma taką słabość do dzieci. Zgodnie z jego obserwacjami, tak jak do serca mężczyzny można było dotrzeć przez żołądek, tak do kobiecego serca najkrótsza droga wiodła przez dziecko. Jako że podobno wszystkie chwytaki są dozwolone na wojnie i w miłości, postanowił, że może kiedyś wykorzysta w praktyce wnioski ze swych obserwacji.

Brooke podeszła blisko, najwyraźniej nie chcąc mówić głośno, by nie obudzić Molly.

- Pójdę zobaczyć, co słychać u Pookiego - oznajmiła. - Jeśli musisz już iść...

- Nigdzie się nie spieszę - przerwał jej. - Poczekam tutaj, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Może przez ten czas uda mi się zaprzyjaźnić z którymś z twoich kotów? Mam ogromną ochotę wygrać ten zakład.

- To ty się zakładałaś, nie ja - przypomniawszy. - Nie kłopot się, nie ma mowy o żadnym śniadaniu do łóżka.

- Mogę wymyślić inną, stawkę, jeśli już koniecznie chcesz.

- Jesteś niepoprawny.

- Za to ty aż nazbyt poprawna - zauważył.

Gdy wyszła, usiadł na brzegu otomany, na której Gable właśnie ucinął sobie drzemkę. Rudzielec otworzył jedno oko, posłał intruzowi groźne spojrzenie, po czym spał dalej. Garrett postanowił zupełnie zignorować tę pomarańczową bestię, co było jedynym sposobem, w jaki należało traktować przedstawicieli tego gatunku. Swą uwagę

skierował na Molly, która wciąż drzemała, zwinięta w kłębek na sofie. Pomyślał, że skoro mają tu zostać na całe lato, powinien wyjaśnić Brooke kilka spraw związanych z dziewczynką. Westchnął głęboko. W tej samej chwili napotkał badawczy wzrok pary niebieskich oczu, należących do Carole Lombard. Czuł, że powoli zaczyna mieć dosyć... Brooke nie mogła uwierzyć własnym oczom, gdy po powrocie do salonu, zastała tam Gable'a ułożonego wygodnie na kolanach swego dotychczasowego wroga. Odebrała to jako cios

w plecy. Garrett tymczasem głaskał kota z rozmachem, który zdradzał jego obycie raczej z psami niż z kotami.

- Co ty robisz? - zapytała gniewnie, spiesząc na ratunek swemu pupilowi.

- Ćśś! - Zerknął znacząco na Molly. - Nie obawiaj się o starego dobrego Gable'a.

Jesteśmy już najlepszymi przyjaciółmi.

- Coś ty zrobił mojemu kotu? - zaperzyła się. - Spiłeś go, czy co?

- To pewnie nie jest twój kot, ale jego brat bliźniak - zacytował z szelmowskim uśmiechem jej własne słowa. - A nie mówiłem, że tym stworzeniom nie można ufać?

Czekają, tylko na odpowiednią okazję by z ciebie zakpić. Psy natomiast...

Brooke nie dała mu dokończyć, pokręciła tylko z niedowierzaniem głową i udała się do kuchni. Nie miała pojęcia, co się dzieje. Nie dość, że koty zachowywały się dziwnie, to jeszcze jej serce waliło jak oszalałe na widok zupełnie obcego przecież mężczyzny. Nie mogła ulec tej pokusie, chociażby przez pamięć na pannę Core...

Garrett przywędrował za nią do kuchni.

- A więc wykorzystałeś biednego Gable'a, aby mi udowodnić, że masz rację, a teraz rzuciłeś go w kąt - powiedziała oskarżycielskim tonem.

- Cóż, takie jest życie. Dzisiaj tu, jutro tam - odparł, stając przy kontuarze. - Ale musisz przyznać, że koty mnie lubią. Bez trudu wygrałem nasz zakład, czyż nie?

- Może i wygrałeś - mruknęła.

- Nie słyszałaś, że wygrywanie to niesłychanie ważna sprawa w życiu? - zdumiał się.

- Nie, najważniejszą sprawą jest uszczęśliwianie innych - zaprotestowała.

- To jest kobiecy punkt widzenia.

- Ależ ja jestem kobieta, na wypadek gdybyś jeszcze nie za... - Urwała w pół słowa.

Wiedziała bowiem, iż zwrócił uwagę na nią jako kobietę widziała to w jego spojrzeniu. To dlatego czuła się taka spięta w jego obecności.

- Owszem, zauważyłem - powiedział, prostując się z szelmowskim uśmiechem na ustach. - Teraz czekam na nagrodę, którą wygrałem.

- Nie bądzie żadnej nagrody.

- Ależ będzie. - Podszedł do niej bliżej. - Nie bądź chytrusem, musisz mi dać nagrodę.

Brooke czuła się jak zahipnotyzowana. Niepewnie cofnęła się o krok.

- Zostań tam, gdzie jesteś, Garrett - poprosiła stanowczo.

- Chciałem dostać śniadanie do łóżka, ale nie wiedzieć czemu nie miałaś na to ochoty - przypomniał. - Co w takim razie otrzymam?

Brooke oparła się plecami o lodówkę. Nie miała już dokąd dalej cofać się.

- Zachowujesz się niemądrze. Przestań natychmiast! Zupełnie zignorował jej prośbę.

- W takim razie zastanówmy się, co mógłbym sobie wziąć jako moją nagrodę. Nie był to szczególnie duży zakład, więc powinienem wygrać coś małego, czego nie będzie ci brakowało, a jednocześnie coś, co będzie ci przypominać, że nie da się przechytryć Garretta Jacksona.

To powiedziawszy, przysunął się jeszcze bliżej, tak że chociaż nie dotykał jej, czuła się jak w potrzasku. Miała wrażenie, że zaczyna jej brakować tchu, przez co nie mogła się skupić na myśleniu.

- Może masz ochotę na ciasteczko? - zaproponowała słabym głosem. - Na pewno nie będzie mi go brakować.

Garrett uśmiechnął się czarująco.

- A co powiesz o pocałunku? - odparł. - Będzie ci przypominał, że jestem mężczyzną, który lubi wygrywać i... wygrywa.

To powiedziawszy, przycisnął usta do jej drżących warg.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Brooke nie przeżyła jeszcze nic tak fantastycznego, jak ów słodki dreszcz, jaki towarzyszył pocałunkowi Garretta. Początkowo była tak wstrząśnięta całą tą sytuacją że stała jak sparaliżowana. Być może czuła się tak niezwykle, ponieważ usta były jedynym miejscem kontaktu między nimi. Garrett nie wziął jej w ramiona ani też nie dotykał, choć znajdował się tak blisko, iż ucieczka była wręcz niemożliwością. Każdym nerwem swego ciała odczuwała niezwykle ciepło, którego epicentrum stanowiły usta, rozgrzewane delikatną pieśczołą jego warg.

Naraz, poprzez dziwny szum w uszach, wywołany zapewne bużowaniem krwi, usłyszała, iż ktoś woła Garretta po nazwisku. Otworzyła oczy, zastanawiając się przy tym, w którym momencie mogła je zamknąć, po czym zamrugowała gwałtownie. Zebrawszy się w sobie, odsunęła go i cofnęła się o krok, zaskoczona, że można poruszać się na tak miękkich nogach. Ależ on potrafi całować, pomyślała z podziwem.

Zerknąwszy na niego, spostrzegła na jego twarzy zdumiona, minę, której przyczyny nie rozumiała. Zanim zdążyła zapytać, o co chodzi, usłyszała ponownie nieznamy damski głos.

- Panie Jackson, jest pan tam? Gdzie są wszyscy? Naprawdę, jeśli sady pan, że przebyłam taki szmat drogi, by włączyć się po jakimś lesie, jest pan w poważnym błędzie!

Cóż za ostry, nieprzyjemny głos, pomyślała Brooke, przypatrując się twarzy Garretta, na której wyraz zdumienia niespodzianie ustąpił miejsca rezygnacji.

- To pani Sisk - poinformował, jak gdyby nazwisko to mówiło samo za siebie.

- Kim jest pani Sisk? - zapytała Brooke, odchrząknawszy uprzednio, jako że głos jej odmówił posłuszeństwa.

- Niania Molly - wyjaśnił, przypatrując się jej intensywnie, jak gdyby chciał wyczytać z jej twarzy, co sadowi o tym, co się między nimi przed chwilą wydarzyło. - Zupełnie o niej zapomniałem.

Sadząc po nieuprzejmym tonie głosu pani Sisk, nie było nic dziwnego w tym, że Garrett próbował choć na trochę wymazać ją z pamięci.

- W każdym razie pojawiła się w sama, pore - zauważyła chłodno Brooke. - Jeśli wydaje ci się, że możesz sobie tak bezkarnie kraść całusy...

- Hej, mówisz tak, jak gdybym wykonał co najmniej skok na bank. Przecież wygrałem tego buziaka - przypomniał z szelmowskim uśmiechem. - Jeśli chodzi o ściśłość, to raczej mnie okradziono, ponieważ nie miałem czasu go dokończyć.

- Czasu miałeś aż za dużo - zaproponowała, wskazując mu drzwi. - A teraz czeka cię niemiła konfrontacja, więc lepiej już tam idź.

Garrett westchnął teatralnie.

- Dobrze, ale w ten sposób odwlekasz jedynie to, co nieuniknione. Mój czas i tak nadejdzie, Brooke Hamilton.

I właśnie to mnie niepokoi, przyznała w duchu, idąc tuż za nim do drugiego pokoju.

Pani Sisk nawet nie wie, jak bardzo jestem jej w tej chwili wdzięczna!

Szybko jednak się przekonała że nowo przybyła niania nie jest osobą, wobec której można żywić tak subtelne uczucie, jak wdzięczność. Wyglądała raczej jak podstarzała Amazonka, przez co trudno było sobie wyobrazić, by była czuła, opiekunką dla jakiegokolwiek dziecka. Ubrana w bezkształtną szarą sukienkę i równie okropny wełniany żakiet o trudnym do określenia kolorze, z włosami ściągniętymi do tyłu w surowy kok, przypominała kierowniczkę pensji dla dziewcząt sprzed co najmniej stu lat.

W tej chwili stała w groźnej pozycji tuż przed sofą na której Molly drzemała wraz z Carole Lombard. Jej spojrzenie pełne było dezaprobaty.

- Co to ma znaczyć? - zapytała z oburzeniem, wskazując na sofę.

- Nic, poza tym, że Molly była zmęczona i zasnęła - wyjaśnił Garrett.

- Mam na myśli to zwierzę.

Carole podniosła gniewny wzrok na nowo przybyłą i nie przesunęła się nawet o milimetr.

- To zwierzę to po prostu kot, zresztą bardzo miły kot - pośpieszyła z wyjaśnieniami Brooke, chcąc załagodzić sytuację.

- To chyba najbardziej paradoksalne stwierdzenie, jakie w życiu słyszałam - odparła pani Sisk, nawet nie zerknąwszy na Brooke. - Co pan sobie wyobraża, panie Jackson? Czy zdaje pan sobie sprawę, że naraził dziecko na poważne niebezpieczeństwo?

- Ależ... - zachnął się Garrett.

- Molly ma alergię na kocią sierść.

- Naprawdę? - zaniepokoił się. - Nie miałem o tym pojęcia Brooke nie wierzyła własnym uszom. Jak to możliwe, by ojciec nie wiedział, na co jest uczulone jego dziecko?

- Jest pani tego pewna? - wtrąciła się. - Molly nie kichała ani nie kaszłała...

- A kim pani jest, młoda damo?

- Ja... to znaczy... - zaczęła się jakać. Dopiero po chwili dotarło do niej, że nie powinna pozwolić się tak traktować obcej kobiecie i do tego w swoim własnym domu. - Nazywam się Brooke Hamilton - odparła, unosząc wysoko brode. - Ten dom oraz kot należą do mnie. Jeśli chodzi o ścisłość, tu jest pełno kotów, które bardzo spodobały się Molly.

- W takim razie dopilnuje, by tu więcej nie przychodziła - zapewniła pani Sisk lodowatym tonem.

- Ojej, czy pani jest jeszcze jednym miłośnikiem psów, a zarazem wrogiem kotów? - westchnęła Brooke.

- Pani Sisk traktuje obydwa gatunki równo i sprawiedliwie- wyjaśnił Garrett. - Nie lubi Barona i Larry'ego w tym samym stopniu, co i Carole Lombard.

- Jestem zdania, że zwierzęta mają swoje miejsce i nie jest nim cywilizowany dom - oświadczyła wyniośle niania. - Matka Molly na pewno by się ze mną zgodziła. To powiedziawszy, pochyliła się, by potrząsnąć ramieniem śpiącej dziewczynki. Gdy jej ręka musnęła Carole, kotka prychnęła z niezadowoleniem i uskokczyła w bok.

- Zaatakowała mnie! - oburzyła się pani Sisk, szybko cofając dłoń.

- Spokojnie, po prostu spłoszyła ją pani - zauważył Garrett.

- Zanosą Molly do domu.

- To nie będzie konieczne. - Niania posłała mu pełne dezaprobaty spojrzenie. - Jeśli mamy ukształtować jej charakter, powinna się nauczyć samodzielności.

- Czy to aby nie przesada? - sprzeciwił się. - Przecież to jeszcze małe dziecko.

- Takie było życzenie jej matki - ucięła dyskusję.

- W porządku - westchnął. - Ale proszę jej nie psuć tych wakacji, chcę, żeby spędziła to lato jak najprzyjemniej.

- Pozwoli pan, panie Jackson, że wezmę na siebie odpowiedzialność za jej nastrój tego lata - odparła, odwracając się. - Molly, obudź się kochanie. Musimy już iść. Mała natychmiast wstała i na wpół przytomna posłusznie powędrowała za swą nianią zataczając się od czasu do czasu ze zmęczenia.

- Cóż za okropna kobieta! - stwierdziła Brooke, gdy tylko pani Sisk zniknęła z pola widzenia. - Jak mogłeś powierzyć jej opieką nad małą?

- Ona była nianią matki Molly. Melinda ufała jej całkowicie i dlatego wybrała ją na opiekunką córeczki - wyjaśnił, rozkładając bezradnie ręce.

- Mimo to... - nie ustępowała, ale Garrett przerwał jej stanowczo.

- Nie rozumiesz. Zwykle nie jest taka ostra. Gniewa się na mnie, bo nie miała ochoty przyjeżdżać tu na lato, a w dodatku nie wyszedłem po nią na lotnisko.

Wytłumaczenie brzmiało całkiem sensownie, a poza tym Brooke uznała, że to nie jej sprawa.

- Rzeczywiście - ustąpiła. - Nie powinnam była nic mówić.

- W takim razie wybaczam ci. - Uśmiechnął się promiennie, ujmując ją pod brodą. - Też mnie trochę zdenerwowała, bo przerwała mi odbiór mojej nagrody.

Brooke uniosła głowę i odsunęła się, wciąż czując na swej twarzy ciepły dotyk jego palców.

- Nie było żadnej nagrody, bo nie było też zakładu - odparowała. - Mówiłam ci przecież, że się nie zakładam.

- Każdy się zakłada.

- Ale nie ja. Jestem na to zbyt ostrożna.

- Ostrożna, czy może raczej tchórzliwa?

- Nie jestem... - zaczęła, ale ledwie zdążyła to wypowiedzieć, uświadomiła sobie, iż faktycznie zawsze tchórzyła. Bała się, iż może coś stracić. Pochodziła z biednej, niezbyt szczęśliwej rodziny, miała więc niewiele, dlatego tak dbała o to, co już należało do niej. Owszem, potrafiła się wyrzec ważnych dla siebie rzeczy, kiedy było to konieczne, ale niemądre narażanie się na ich utratę zupełnie nie było w jej stylu.

- Aha, uderzyłem w czuły punkt - zauważył Garrett. - Jestem hazardzista, ale tylko w tym sensie, że nie boję się próbować, chwycić nadarzających się okazji. Kto nie ryzykuje, ten w kozie nie siedzi.

Łatwo mu tak mówić, pomyślała. Pochodził z bogatej, znamienitej rodziny, tak przynajmniej twierdził adwokat panny Cory. Zapewne w przypadku, gdy zaryzykował i stracił, otrzymywał coś nowego, więc nie odczuwał żalu.

- Ale nie ryzykujesz, gdy w grę wchodzi dobro twojej córki - argumentowała.

- To prawda - przyznał. - A jeśli już o niej mówimy, to wydaje mi się, że jest coś, o czym powinnaś wiedzieć...

Przerwało mu głośnie stukanie do drzwi.

- Brooke? Brooke, to ja, Katy. Mogę wejść?

Brooke gotowa była przysiąc, iż Garrett słysząc to, westchnął z ulgą,

- Wpuszczę ją, wychodząc - zaproponował.

- Ale miałeś powiedzieć mi coś o Molly...

- Będziemy mieli na to jeszcze mnóstwo czasu - odparł z lekkim uśmiechem.

Brooke powędrowała za nim do holu. Garrett otworzył drzwi, przez co Katy, najprawdopodobniej oparta o nie od zewnątrz, niemal wpadła do środka. Gdy tylko go ujrzała, jej oczy zrobiły się wielkie i okrągłe.

Schwycił jej rękę i potrząsnął energicznie.

- Miło mi cię poznać...

- ...Katy - podpowiedziała, wciąż wyraźnie pod wrażeniem.

- Właśnie, Katy. Nazywam się Garrett Jackson. Do zobaczenia.

- Ale.. - zaczęły obie dziewczyny jednocześnie.

- Musimy jeszcze porozmawiać o kilku sprawach, Brooke - dodał. - Może byś tak przyszła do nas jutro na śniadanie?

- Ja... nie... to znaczy - jękała się.

- Założę się, że nie przyjdiesz - zawołał wesoło i pomachał im dłonią, odszedł w kierunku swego domu.

Przez dłuższą chwilę obie dziewczyny stały w milczeniu w drzwiach, odprowadzając go wzrokiem, aż zniknął za zakrętem. Wtedy Katy głośno wypuściła z płuc nagromadzone powietrze.

- Ojej! - jęknęła. - To był chyba najbardziej doskonały okaz męskiej urody, jaki stąpa po ziemi.

- Rzeczywiście, jest całkiem niczego sobie - przyznała Brooke ze śmiechem.

- Niczego sobie?! - oburzyła się Katy, podążając za przyjaciółką do kuchni. - Nie udawaj, widzisz przecież, że jest zabójczy. - Zerknęła za siebie, by upewnić się, że Garrett niczego nie usłyszy. - A więc to jest spadkobierca panny Cory? Ty szczęściaró, bądźcie mieszkał tu po sąsiedzku.

- Przynajmniej przez jakiś czas - mruknęła, po czym zręcznie zmieniła temat, pytając Katy o jej szefa, doktora Johna Harveya, weterynarza, który opiekował się zwierzętami mieszkającymi w Kocim Kąciuku. Słuchając paplaniny przyjaciółki, prawie zapomniała o Garrecie Jacksonie i jego uroczej córeczce.

Niestety, pół nocy spędziła, przewracając się z boku na bok i rozmyślając o swym przystojnym sąsiedzie. Przyjazd Garretta stanowił nie lada zagrożenie dla jej spokoju wewnętrznego i jeszcze kilku innych rzeczy. Postanowiła więc, że lepiej będzie, jeśli ograniczy kontakty z nim do niezbędnego minimum. Z tą, kojącą myślą, zasnęła wreszcie, nieświadoma, iż jej decyzja będzie ważna nie dłużej niż kilka godzin... Skończyła właśnie karmić swych podopiecznych, gdy usłyszała cichutkie stukanie do drzwi. Zdziwiona, otworzyła je i ujrzała stojącą na progu Molly Jackson.

- Molly! - zawołała zdumiona. Rozejrzała się w poszukiwaniu Garretta bądź pani Sisk, ale nie spostrzegła żadnego z nich. - Co ty tu robisz tak wcześnie rano, kochanie?

- Przyszłam się zobaczyć z Carole Lombard - oznajmiła dziewczynka. - Czy mogę?

- Oczywiście, wejdz - zaprosiła ją, Brooke, po czym zaprowadziła małą, do salonu. - Jesteś sama?

Molly kiwnęła główką, była bowiem zbyt pochłonięta rozglądaniem się po pokoju, aby odpowiedzieć. Gdy tylko spostrzegła swą, pupilkę, ułożoną wygodnie na dużej aksamitnej poduszce, pobiegła ku niej z głośnym okrzykiem radości.

Brooke poczuła, jak jej mocne postanowienie rozplywa się w powietrzu. Bo jak tu nie kochać dziecka, które tak ubóstwia koty? Wzdychając raz po raz, przyglądała się dziewczynce, która z całej siły przyciskała do siebie równie zadowoloną Carole.

- Słoneczko, czy twój tatuś albo pani Sisk wiedzą że tu jesteś?

- Gart śpi - odparła mała tonem wyjaśnienia. - Nie lubi, kiedy budzą go rano.

A to drań, pomyślała ze złością, Brooke.



- A twoja niania? Czy zapytałaś ja, o pozwolenie? - dopytywała się.  
- I tak by powiedziała, że nie mogę. Nigdy mi na nic nie pozwala. Pomyślałam, że ty się na pewno zgodzisz.

Błagalny uśmiech Molly sprawił, że serce Brooke stopniało zupełnie. Wiedziała jednak, że nie może pochwalić tego postępu, że powinna być odpowiedzialna i stanowcza.

- Muszę zadzwonić do twego domu i powiedzieć im, że tu jesteś - oznajmiła, udając, że nie widzi wyrazu rozczarowania na twarzy dziewczynki. - Nie chcesz chyba, żeby się niepokoił...

- Aha! - dał się słyszeć ostry damski głos.

Pani Sisk stała w drzwiach. Jej zbulwersowana mina nie wróżyła nic dobrego.

- Wiedziałałam, że cię tu znajdę- powiedziała do Molly, która nagle skurczyła się w sobie.

- A co do pani...

Brooke zareagowała na groźny ton głosu pani Sisk w podobny sposób, jak Molly, ale będąc od niej starsza i, przynajmniej teoretycznie, mądrzejsza, pokonała lęk i wyprostowała się dumnie.

- Słucham? - odrzekła, patrząc przybyłej prosto w oczy.

- Młoda damo, zmuszona jestem prosić panią, wręcz nalegam, by przestała pani zachęcać to dziecko do nieposłuszeństwa - rzekła niania, idąc przez przedpokój.

- Droga pani Sisk, naprawdę nie nazwałabym tego nieposłuszeństwem. - Brooke próbowała ze względu na Molly załagodzić sytuację. - Mała chciała po prostu odwiedzić koty...

- Ile dzieci pani wychowała? - przerwała jej ostro.

- Cóż, żadnego, ale... Ale sama byłam dzieckiem i jeszcze nie zapomniałam, jak to jest.

- To, co pani mówi, zupełnie nie jest zabawne - zauważyła pani Sisk, ujmując Molly za rączkę

- Przepraszam, chciałam tylko rozładować nieco atmosferę. Chodzi mi o to, że dzieci i zwierzęta potrafią się doskonale bawić i rozumieją się nawzajem. Trudno winić Molly, iż...

- Pani teorie na temat wychowania dzieci zupełnie mnie nie interesują- przerwała jej nieuprzejmie niania. - Stanowczo nalegam, by nie przeszkadzała mi pani w wykorzenianiu złych nawyków, jakich to dziecko nabrało, odkąd zamieszkało z nim.

- Z nim? - powtórzyła Brooke ze zdumieniem. - Z nim, to znaczy z ojcem, z Garrettem? A więc nie zawsze z nim mieszkała? Jeśli nie... to z kim?

- To nie pani sprawa - ucięła pani Sisk. - Proszę, by się pani nie wtracała. Zapewniam, że to dla dobra dziecka.

Niania chwyciła zrozpaczoną dziewczynką za rączkę i wyprowadziła ją.

Zdezorientowana Brooke przez długi czas stała w bezruchu, wpatrzona w dwie oddalające się postaci, aż wreszcie zerwała się, by pobiec za nimi. Zdażyła postąpić zaledwie kilka kroków, gdy wpadła na nadchodzącego Garretta, który złapał ją za obydwie ręce.

- Hej, zaczekaj chwilę - poprosił.
- Ale muszę tej kobiecie wytłumaczyć, że... - zawołała.
- To nie jest najlepszy pomysł.
- Nie masz pojęcia, co mi właśnie powiedziała, a potraktowała tę biedną małą jak...
- Wejźmy do środka - poprosił. - Musimy porozmawiać. Z jego twarzy Brooke wyczytała, że to naprawdę coś poważnego, toteż posłusznie podążyła za nim do domu.
- A że pora jest odpowiednia, to może mogłabyś poczęstować mnie małym śniadankiem - dodał żartobliwie.

Widząc jej podejrzliwe spojrzenie, roześmiał się serdecznie.

- Nie będzie to wprawdzie śniadanie podane do łóżka, ale muszę korzystać z nadarzającej się okazji, nieprawdaż? - dorzucił.

Kilkanaście minut później siedzieli obydwój przy szerokim kuchennym stole. Brooke popijała kawę, natomiast jej sąsiad z apetytem pochłaniał serowy omlet oraz złociste tosty, hojnie posmarowane domowej roboty dżemem morelowym. Jego pełna niewymownej rozkoszy mina świadczyła o tym, jak bardzo doceniał jej kulinarne starania. Oczywiście ona sama uważała, że nie zadała sobie absolutnie żadnego trudu, by przygotować mu posiłek. Przecież zrobienie omletu wymagało dokładnie tyle samo zachodu, co nalanie zimnego mleka do miseczki z płatkami.

- Przepyszne - ocenił, jedząc kolejny tost z grubą warstwą, dżemu. - Gdzie się nauczyłaś tak dobrze gotować?

- Od jednego z kucharzy panny Cory.

- Tak? — zdziwił się. - A ja myślałem, że dziewczynki uczą się takich rzeczy od swoich matek.

- Moja nie była zbyt dobra, kucharką

- Ani moja.

- Sadzę, że istniała między nimi pewna różnica. - Uśmiechnęła się smutno. - Moja matka nie mogła sobie pozwolić, by zatrudnić kogoś, kto mógłby robić to za nią więc w sumie najlepiej posługiwałyśmy się otwieraczem do puszek.

- My, to znaczy kto? - zainteresował się, oblizując dżem z wargi.

- Ja i moja siostra - odparła machinalnie. - Zaraz, nie mam zamiaru mówić o sobie, chcę porozmawiać o Molly. I o tobie, jeśli chodzi o ścisłość.

- O mnie? - ucieszył się.

- Tylko nie wyobrażaj sobie zbyt wiele - uprzedziła lojalnie. - Pani Sisk powiedziała dziś coś, czego nie rozumiem.

Garrett podniósł na nią, zdziwione spojrzenie.

- Jeśli Molly rzeczywiście mieszka z tobą dopiero od jakiegoś czasu, to co się z nią działo wcześniej? - zapytała prosto z mostu.

- Właśnie to ci chciałem wczoraj powiedzieć - oświadczył, odkładając widelec. - Molly nie jest moja. To znaczy, teraz jest, ale nie jestem jej prawdziwym ojcem.

- Nadal nie rozumiem. - Zmarszczyła czoło.

- Jest córka, mojego starszego brata, Brocka. On i jego żona zgineli w wypadku samochodowym osiem miesięcy temu. Swe jedyne dziecko powierzyli mojej opiece.

- Och! - wykrztusiła. - To straszne!

- Tuż po tym, jak Molly przyszła na świat, poprosili, bym przyrzekł, że zajmę się nią jeśli coś im się stanie. Oczywiście zgodziłem się, bo kto mógł przypuszczać, że faktycznie wydarzy się coś złego.

- To musiał być dla was ogromny szok - wyszeptała ze współczuciem.

- Tak, byli zbyt młodzi, by umrzeć, a Bóg jeden wie, że Molly była zbyt mała, by stracić w ten sposób oboje rodziców. - Mówiąc to, nerwowo przecesał dłonią włosy.

- Na szczęście zostałeś ty. Garrett zaśmiał się gorzko.

- Tak, ja, największy skandalista w całym Chicago. Wszyscy przyjaciele mojego brata uważali, że powierzenie mi dziecka to czyste szaleństwo. Nie dziwię im się, prowadziłem dosyć... ekstrawagancki tryb życia.

Rzucił jej ostrożne spojrzenie, aby przekonać się, czy rozumie, co miał przez to na myśli.

- Przypuszczam, że byłeś znanym playboyem?

- Coś w tym stylu - przyznał. - Ale gdy wziąłem na siebie odpowiedzialność za tę małą istotkę, ustatkowałem się. Zrozumiałem, że od tej pory muszą myśleć o tym, co dla niej najlepsze, a nie tylko o swojej przyjemności.

- A więc dlatego Molly nazywa cię Gart - zrozumiała Brooke.

Skinał głową

- Kiedyś mówiła do mnie „wujku Gart”. Gdy ktoś po raz pierwszy nazwał mnie jej ojcem, była kompletnie zdezorientowana. Wie przecież, że jej tatuś nie żyje. Nie pozwoli nikomu zająć jego miejsca, więc zwraca się do mnie po imieniu, a mi to odpowiada, jeśli jej jest z tym dobrze.

- Ale wolałbyś, by mówiła do ciebie „tatusiu” - podsunęła.

- Marzenia... - westchnął. - W każdym razie to dlatego czasami nie wiem, jak postąpić, nie mam jeszcze zbyt wiele doświadczenia w roli ojca.

- Dziękuję, że mi to powiedziałeś. Teraz łatwiej będzie mi zrozumieć pewne rzeczy. A więc nie miałeś nic wspólnego z wyborem pani Sisk na nianię Molly?

- Czy ja wyglądam na osobę niespełna rozumu? - obruszył się.

- Ale nie zwolnisz jej, ponieważ wybrała ją matka dziewczynki?

- Nie. - Pokręcił głową - Zresztą nie jest taka najgorsza. Ma naprawdę mnóstwo doświadczenia w tych sprawach, a Melinda uważała ją za doskonałą opiekunkę. Przyznaję, nie należy może do szczególnie serdecznych osób...

Brooke chrząknęła znacząco, by dać mu do zrozumienia, iż było to największe niedopowiedzenie, jakie w życiu słyszała.

- Ale nie mam wyjścia, jestem z nią, niejako związany - dokończył.

- A co byś zrobił, gdyby rzuciła tę pracę?

- Nie mam pojęcia. Może urządziłbym przyjęcie albo zatańczył kankana, lub zadzwonił po pizzę? - zażartował.

- W takim razie przygotuj się, bo nie sadzę, by wytrzymała tu do końca lata - stwierdziła.

- Nie wiem, czy ja tu będę do końca lata - przypomniał. Zupełnie o tym zapomniała. Ze wszystkich sił próbowała zapomnieć...

- W takim razie nie zmieniłeś zdania co do sprzedaży posiadłości?

- Naturalnie, że nie - odrzekł, dopijając kawę. - Zostało coś jeszcze w tym dzbanku?

- Nie! - burknęła, podnosząc się gwałtownie. - Myślę, że powinieneś już sobie pójść.

- Och, Brooke, daj spokój. Zastanów się, co ja bym zrobił z tym wielkim, ciemnym grobowcem? Przez całe życie mieszkałem w Chicago, tam jest moje miejsce. Oczywiście, że sprzedam tę posiadłość.

- Ale testament panny Cory...

- Testament można po prostu zignorować. - Wzruszył ramionami.

- Dla niektórych ludzi nie istnieje nic świętego - zauważyła gorzko.

- Ale wszystko ma swoją cenę- odparł, wyraźnie nie obrażony.

- Nie wszystko. - Potrząsnęła energicznie głową,

- A właśnie, że wszystko. - Pochyliwszy się lekko do przodu, nakrył jej dłoń swoją ręką,

- Brooke, zamierzam kupić twój dom i tę działkę.

- Nie ma mowy!

- Dobrze zapłacę - kusił.

- Wcale mi nie zapłacisz, bo nie mam najmniejszego zamiaru niczego ci sprzedawać!

- Sprzedasz, sprzedasz.

- Ciekawe, jak zamierzasz mnie zmusić. Będziesz wymachiwał mi przed nosem grubym plikiem banknotów? - zakpiła.

- Może tak, a może nie - odparł enigmatycznie.

Brooke zadrżała, skupiona na ciepłe, promieniującym od jego dłoni na całe jej ciało.

- Mówiliśmy o pani Sisk - przypomniała słabym głosem. - Nie lubi ani mnie, ani moich kotów, a podejrzewam, że również całego Kolorado, a jako że ani Kolorado, ani ja się nie zmienimy, możesz się przygotować, że w najbliższym czasie stracisz opiekunką do dziecka

Co dla Molly byłoby najbardziej szczęśliwym rozwiązaniem, dodała w duchu.

- Założymy się? - zaproponował z łobuzerskim uśmiechem na ustach. - Jeśli pani Sisk wytrwa do końca lata, podasz mi śniadanie do łóżka, a jeśli zrezygnuje, ja podam je tobie.

- Wiesz co? - roześmiała się bezradnie. - Tobie to tylko jedno w głowie.

- Słyszałem to już nieraz. To jak, zakład stoi?

- Nie, mówiłam ci już, że ja się nie zakładam - przypomniała. - Nie mam natury hazardzisty.

Machnął ręką z rezygnacją,

- Czas pokaże - stwierdził sentencjonalnie. - Ach, byłbym zapomniał. Czy mogłabyś przyjść po południu pomóc mi segregować rzeczy babci Cory?

- Oczywiście - obiecała.

Musiała pójść, nie mogła przecież zawieść panny Cory.

- A może jutro wybralibyśmy się na zwiedzanie Boulder? - zaproponował.

- Tego nie ma w umowie - odparowała.

- W takim razie niech to będzie stawka zakładu. Jeśli wygrasz, oprowadzisz mnie po mieście, a jeśli ja wygram... oprowadzisz mnie po mieście. Widzisz, nie ma przegranych. To o co się zakładamy?

- Nie zakładam się - odparła ze śmiechem. - Koniec dyskusji.

W tym momencie do kuchni leniwym krokiem wszedł Gable, podążył prosto pod stół i zaczął się ocierać o nogi Garretta, który posłał Brooke zbolące spojrzenie.

- Może założymy się, kto pierwszy da plamę, koty czy psy - zaproponował.

- Moje koty na pewno się nie zhańbią,- zapewniła stanowczo.

- W takim razie nie musisz się obawiać przegranej - podsumował, wstając od stołu. - Do zobaczenia po południu.

Miała ochotę odmówić, ale jakoś nie przyszedł jej do głowy żaden sensowny argument, więc nie zaprotestowała.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Oczywiście tego popołudnia Brooke posłusznie zjawiała się w Glennhaven. Idąc krętymi alejkami, przyglądała się z zachwytem tej pięknej kamiennej budowli, której szczególna, ozdobę stanowiła wieżyczka, stylizowana na obronna. Ten trzypiętrowy dom zbudowany został na zboczu wzgórza przez pewnego ekscentrycznego architekta w 1895 roku. Mieścił w sobie aż siedemnaście pokoi oraz całe mnóstwo dodanych z biegiem lat udogodnień, jak chociażby kryty basen, zainstalowany przez pannę Corę. Myśląc o tym wszystkim, Brooke nie mogła pojąć, jak to możliwe, by Garrett naprawdę chciał sprzedać to cudzińko. Przecież była to ogromna część historii jego rodziny. Nie, nie mogła mu na to pozwolić! Z zamiarem wyperswadowania mu tego szalonego pomysłu, energicznie zastukała do drzwi kołatka, ku jej niewymownej uldze otworzył Garrett. Nie była pewna, jak by zareagowała, gdyby stanęła twarzą, w twarz z groźną, panią Sisk. Chociaż z drugiej strony, nie wiedziała też za bardzo, jak się zachować, stojąc na wprost tego, bądź co bądź, niesłychanie przystojnego mężczyzny, który od samego początku przyprawiał ją, o lekki dreszczyk emocji.

- Potrzebuje cię- oznajmił, zerknawszy z pewnym niezadowoleniem na ułożonego wokół jej szyi Gable'a. - Rozglądaliśmy się trochę po domu, ale ciągle się w nim gubimy. Czuję się jak w labiryncie krecich korytarzy.

- No wiesz! - oburzyła się. - Glennhaven jest jak jeden wielki skarbiec, pełen intrygujących zakamarków i nie porównuj go do kreciej nory. A gdzie Molly? - dodała, rozglądając się dookoła.

- Z pania Sisk - poinformował lakonicznie. - To jak, zaczynamy?

Tylko we dwoje? Brooke poczuła się nieco niepewnie. Szczerze mówiąc, liczyła na obecność dziewczynki, która na pewno skupiłaby na sobie uwagę Garretta. Poczuła nagły przyływ paniki, ale nie pozostało jej nic innego, jak wyrazić zgodę.

Poprowadziła więc nowego właściciela Glennhaven poprzez wijące się korytarze oraz pełne uroku pokoje, wskazując raz po raz na detale, które niegdyś tak bardzo ją, oczarowały: kolorowe witraże, delikatne sztukaterie, bezcenne dywany i gobeliny oraz równie wartościowe obrazy. Wszędzie znajdowały się splecione fotografie, przedstawiające pannę Corę w różnych okresach jej życia. Była na nich więc śliczna dziewczynka, pełna energii i optymizmu nastolatka, urocza wschodząca gwiazda filmu i wreszcie elegancka dojrzała kobieta o zmysłowej twarzy. Gdy znaleźli się w bibliotece, Garrett wziął do ręki jedno ze zdjęć, umieszczone w ozdobnej secesyjnej ramie.

- Nie miałem pojęcia, że była taka piękna - wyznał ze zdumieniem.

- Ale chyba widziałeś inne jej fotografie. Pokręcił przecząco głową

- Nie przypominam sobie, żeby ktokolwiek z rodziny przechowywał jej zdjęcia. Nawet nie wspomniano jej w rozmowach.

- A filmy? - podsunęła.

- Generalnie nie jestem kinomanem, a już te stare, nieme... Nie zdołałbym usiedzieć do końca przed telewizorem.

- Założę się, że jednak byś wytrzymał - rzuciła, po czym dopiero po chwili zorientowała się, co tak naprawdę powiedziała. - To znaczy... nie będą się zakładać, ale uważam, że...

- dodała niepewnie.

- Akurat ten zakład niechybnie bym wygrał - przerwał jej ze śmiechem.

- Wiesz dobrze, że nie o to mi chodziło. Chciałam tylko powiedzieć, że nieme filmy są wbrew pozorom szalenie interesujące, zwłaszcza te, w których grała panna Cora. Ma... to znaczy miała całkiem bogatą wideotekę.

- Może w takim razie wybierzesz dla mnie coś ciekawego? - zaproponował.

- Z chęcią polecę ci jakiś.

- Chodziło mi o to, żebyśmy obejrzeli go wspólnie któregoś wieczoru - uściślił, przyglądając się jej spod na wpół przymkniętych powiek. - Ja przygotuję popcorn.

Miała zasiąść wraz z nim w ciemnej sali projekcyjnej i oglądać stary romantyczny film?

- Zobaczymy - odparła wymijająco. - Spójrz na ten komin - zreżymnie zmieniła temat. -

W całym domu jest ich dziewięć, przy tym każdy jest inny. Ten na przykład wyróżnia się misternie rzeźbionymi ornamentami...

Przeszli następnie do kuchni, gdzie zatrzymali się przed ogromnym marmurowym blatem, służącym do przygotowywania wypieków, jakie później trafiały do ogromnego pieca węglowego.

- A tak przy okazji, kto ci gotuje posiłki? - zainteresowała się.

- Pani Sisk - wyjaśnił, krzywiąc się nieznacznie. - Robi to niechętnie, ale nie ma wyjścia, póki nie znajdą kogoś odpowiedniego.

- A ty sam nie gotujesz?

Garrett cofnął się o krok, jego twarz wyrażała niebotyczne zdumienie.

- Czy ja wyglądam na faceta, który zna się na kuchni? - zapytał urażonym tonem.

- Cóż, skoro ciągle wspominasz o śniadaniu w łóżku, sadziłam, że będziesz umiał je przygotować w razie przegranej - odrzekła, uśmiechając się z lekka, kpina, Pochyliwszy się ku niej, delikatnie przesunął palcami po jej policzku.

- Nie mam zamiaru przegrać - wyszeptał. - Ale gdyby jakimś dziwnym trafem tak się stało, wygrana cię nie minie, nie masz się czego obawiać.

Cofnęła się szybko, chcąc przerwać fizyczny kontakt, jaki zaistniał między nimi. Nie mogła pojąć, dlaczego za każdym razem, gdy czuła na swej skórze jego dotyk, robiło jej się gorąco i zupełnie nie mogła zebrać myśli.

- W takim razie życzę szczęścia w poszukiwaniu kucharza - rzuciła szybko. - Jeśli zaś chodzi o ten marmurowy blat, to jest tu od samego początku, czyli od 1895 roku.

Garrett ze zdziwienia uniósł brwi, przyglądając się lśniącej, gładkiej powierzchni, noszącej nieznaczne ślady użytkowania przez całe pokolenia kucharzy.

- A do czego to służy?

- Na przykład do wałkowania ciasta czy wycinania ciasteczek - wyjaśniła. - Co najważniejsze, marmur jest zawsze zimny, bez względu na temperaturę, otoczenia, co bardzo ułatwia pracę.

- To takie staroświeckie - zauważył. - Zresztą podobnie, jak ten wielki piec. Coś mi się zdaje, że moja cioteczna babka była wyjątkowa, tradycjonalistka,

- Ależ skąd! - obruszyła się. - Panna Cora była szalenie nowoczesna, osoba,

To powiedziawszy, odsunęła harmonijkowe drzwi, za którymi ukazał się najnowszy sprzęt gospodarstwa domowego, w tym wielofunkcyjna kuchenka elektryczna.

- Zachowała ten stary piec, ponieważ doceniała jego wartość historyczną, a także z tęsknoty za przeszłością,- dodała.

- Wygląda na to, że była niesłychanie skomplikowana osoba,

- zauważył Garrett po chwili namysłu.

- O tak - zgodziła się. - Ten dom nie jest już taki sam, odkąd jej zabrakło - westchnęła ze smutkiem.

- Jeszcze jeden dobry powód, aby się go pozbyć - skonstatował. - A co jest za tamtymi drzwiami?

Niemile zaskoczona jego komentarzem, poprowadziła go przez jadalnię, w której uwagą przykuwała kolekcja porcelany i kryształów, następnie pogodny, utrzymany w żółtej tonacji pokój poranny, aż do ogromnej, wysokiej na dwa piętra, sali reprezentacyjnej.

Garrett zadarł głowę, by przyjrzeć się zdobiącym sufit malowidłom.

- Na litość boska, co to jest? - wykrztusił. - Kaplica Sykstyńska, czy co?

- Z tego, co wiem, panna Cora urzędowała tu kiedyś przyjęcia - poinformowała z lekkim uśmiechem. - Kiedy zamieszkałam z nią, była już wdowa, więc nie używała tego pomieszczenia. Szkoda, bo...

Przerwał jej dzwonek telefonu. Garrett wyszedł do holu. Nie mogąc się powstrzymać, stanęła tuż za drzwiami i bezwstydnie podsłuchiwała.

- Och, cześć, Dee-Dee... Tak, dobrze... Przepraszam, ale w tej chwili to niemożliwe... Kochanie, mówiłem ci przecież, że wyjeżdżam na całe lato... Tak, tak, ja też za tobą tęsknię... Tak, jasne... Dobrze. Do zobaczenia.

Gdy ponownie wszedł do pokoju, Brooke pochłonięta była kontemplowaniem jednego z misternie wykonanych świeczników, jej myśli jednak krążyły wokół tajemniczej Dee-Dee. A więc Garrett Jackson był kobieciarzem. Postanowiła zachować ten fakt w pamięci.

- Przepraszam - powiedział, stając obok niej. - Czy możemy kontynuować?

Oglądali właśnie płótna, znajdujące się w galerii, gdy weszła tam pani Sisk.

- Pani Jackson, przyszła jakaś kobieta w sprawie posady kucharki - oznajmiła swym nieprzyjemnie ostrym głosem. - Rozmawiałam z nią i muszę panu powiedzieć, że zupełnie się do tego nie nadaje. - W tym momencie jej wzrok spoczał na ramieniu Brooke, gdzie ciągle przebywał Gable. - A co robi tu to zwierzę?

Brooke poczuła, jak kot wbija pazury w jej koszulkę.

- Aż do śmierci panny Cory tutaj był jego dom - wyjaśniła. - Zawsze przychodzi tu ze mną

- Rozumiem - wycedziła niania, choć jej mina świadczyła o czymś zupełnie przeciwnym. - Jeśli chodzi o tą kucharkę, panie Jackson... - zaczęła, zwracając się do Garretta.

- A jak ona się nazywa? - wtrapiła się Brooke. - Może ją znam.

Wyraz twarzy pani Sisk mówił aż nadto wyraźnie, że nie jest to najlepsza rekomendacja, ale widząc, iż Garrett skinal zachęcająco głową, z niezadowoleniem odpowiedziała na pytanie Brooke.

- Wydaje mi się, że O'Hara.

- Mary O'Hara? - ucieszyła się Brooke. - Mary O'Hara pracowała tu kiedyś.

- Rzeczywiście, powtarzała mi to kilka razy - przyznała niania niechętnie.

- Pani O'Hara odeszła, ponieważ jej najmłodsza córka urodziła dziecko i musiała jej pomóc - wyjaśniła, starając się zachować spokój. - Panna Cora zawsze miała nadzieję, że ona kiedyś wróci.

- Czyżby? - mruknęła pani Sisk. - W każdym razie zupełnie się nie nadaje.

Garrett, który z ogromnym zainteresowaniem przysłuchiwał się tej wymianie zdań, przejął teraz inicjatywę.

- A skąd to przekonanie?



- Ponieważ, jak tylko zobaczyła Molly, oznajmiła, że jej specjalnością są pierniczki. - Ton jej głosu nie pozostawiał cienia wątpliwości co do jej opinii na temat przydatności tego typu talentu.

- Och, ja bardzo lubię pierniczki - zauważył Garrett z figlarnym błyskiem w oku.

- Nie uważam tego za wystarczający powód, by... - zaczęła pani Sisk, unosząc wysoko brodę.

- Nie interesuje mnie pani opinia na temat ludzi, których zatrudniam - uciął.

- Ależ, panie Jackson! - oburzyła się.

- Pani pozwoli, że porozmawiam z panią O'Hara i sam zdecyduję, czy jest odpowiednią kandydatką na to miejsce. Pani zadaniem jest troska o zdrowie oraz szczęście Molly i proponuję, by się pani tym zajęła.

Słyszając to, kobieta odwróciła się na pięcie i szybkim krokiem wyszła z pokoju. Garrett przez chwilę stał zamyślony, ale gdy wreszcie odwrócił się do Brooke, na jego twarzy gościł czarujący uśmiech.

- Czy możemy teraz pójść porozmawiać z panią, O'Hara? - poprosił.

Kucharka powitała ich radośnie. Była serdeczna, ciepła, kobieta, pod sześćdziesiątkę i stanowiła całkowite przeciwieństwo oschłej pani Sisk.

- Poznałam już pańska, córeczkę - obwieściła, energicznie potrząsając dłonią, Garretta. - To istny aniołek. Muszę powiedzieć, że gotowanie dla niej sprawiłoby mi ogromna, przyjemność. - W jej głosie pobrzmiwał szczery entuzjazm.

- W takim razie ma pani tę pracę - odpowiedział Garrett z szerokim uśmiechem.

Kobieta ze zdziwienia zamrugła oczyma.

- Ot, tak po prostu? Nie chce pan nawet zobaczyć moich referencji?

- Z tego, co wiem, ma pani doskonałe referencje - odrzekł, zerkając na Brooke. - Panna Hamilton wyrażała się o pani wyjątkowo pochlebnie.

Twarz pani O'Hara rozjaśniła się radośnie.

- Dziękuję ci, kochanie - zwróciła się do Brooke. - Tęskno ci za panną, Cora, prawda?

- Oj tak - zapewniła z ciężkim westchnieniem.

- Ale teraz jej królestwo przejmie we władanie ten młody człowiek i wszystko znów będzie tak jak dawniej - oznajmiła kucharka, zacierając ręce. - Kiedy mam zacząć, panie Jackson?

Od zaraz? - Rozejrzała się po kuchni, nie kryjąc zadowolenia. - Tak się cieszę, że wróciłam. Brakowało mi tego miejsca - wyznała.

- Myślę, że najlepiej będzie, gdy zacznie pani jutro. Bardzo się cieszę, że będzie pani dla mnie pracować.

W tym momencie coś biało-czarnego wpadło z impetem do kuchni, aż pani O'Hara wydała z siebie pełen przerażenia okrzyk. Był to oczywiście Larry, który usiadł na środku, machając radośnie ogonem w kierunku kucharki. Ta pochyliła się i poklepała go po kudłatym łebku.

- Mam nadzieję, że panna Cora nie przewraca się w grobie, widząc, że po jej domu hasa pies.

- Psy - poprawiła Brooke, zastanawiając się, jak taka miła i mądra kobieta, jak pani O'Hara, może żywić pozytywne uczucia w stosunku do psa. Poczuli, jak Gable poruszył się niespokojnie na jej ramieniu. - Dwa. Drugi to owczarek niemiecki... Nie zdążyła dokończyć, gdyż w tej samej chwili Gable z gniewnym prychnięciem rzucił się na nic nie przeczuwającego Larry'ego.

Garrett spodziewał się, że wcześniej czy później ten okropny kot się zbłąźni, ale nawet on dał się zaskoczyć tej rudej bestii, która wszystkimi czterema łapami wyładowała na grzbiecie biednego Larry'ego. Przez chwilę z podłogi dochodziły jedynie groźne pomruki oraz pełne przerażenia piski. Bitwa zakończyła się równie szybko, jak się zaczęła, gdyż napastnik niespodziewanie wskoczył na wysoki kredens, skąd obserwował rozpaczliwa, gonitwę psa za własnym ogonem. Nieszczęsny Larry nie miał pojęcia, gdzie się schronił jego nieprzyjaciel. Garrett gotów był przysiąc, że w żółtych oczach kota czaiła się ogromna satysfakcja, iż tak sprawnie udało mu się przeprowadzić atak i wywieść ofiarę w pole. Szkoda mu było psa Molly, ale nie potrafił zapanować nad wybuchem śmiechu.

- Jak możesz okazywać wesołość w takiej chwili? - oburzyła się, zgodnie z jego przewidywaniami, Brooke. - Ten przebrzydły pies o mały włos nie zamordował kota panny Cory!

Nie mógł nie odnotować w myślach, jak pięknie wyglądała, gdy się tak złościła. Miał ochotę podejść, wziąć ją, w ramiona i całować aż do utraty tchu, tak by zapomniała o tym przeklętym kocie.

Pani O'Hara wypuściła głośno powietrze z płuc.

- Uff, mało brakowało - zauważyła. - Czy oni tak często?

- To znaczy, czy często ten drapieżny pies próbuje zabić mojego kota? - zapytała wciąż jeszcze zagniewana Brooke.

- Jesteś okropnie niesprawiedliwa - upomniał ją Garrett. - Powinnaś nauczyć swego kota dobrych manier.

- Mój kot jest doskonale wychowany! - obruszyła się. - Czyżbyś nie wiedział, że atak bywa najlepszą obroną?

- Mów sobie, co chcesz, ale przegrałaś zakład.

- Jaki zakład? - zainteresowała się kucharka, która z ciekawością przysłuchiwała się ich rozmowie.

- Nie było żadnego zakładu - odparła szybko Brooke, jednocześnie patrząc błagalnie na Garretta.

- Założyliśmy się, kto pierwszy, jej koty, czy moje psy, zachowa się niekulturalnie i przyniesie wstyd właścicielowi - poinformował, udając, iż nie widzi jej spojrzenia. - Bez cienia wstydliwości to ja jestem zwycięzcą

- Ale ja się z tobą nie założyłam - jęknęła. Podeszedłszy do kredensu, wyciągnęła ku kotu ramiona, ten jednak wyraźnie nie zamierzał skorzystać z tego zaproszenia.

- Czy mógłbyś zabrać stąd swego psa? - poprosiła. - Inaczej nigdy nie uda mi się ściągnąć Gable'a z kredensu.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem - odparł szarmancko.

Pochyliwszy się, wziął na rące wciąż zdezorientowanego Larry'ego i wystawił go na korytarz.

- A o co się założyliście? - chciała wiedzieć pani O'Hara.

- O nic - pospieszyła z odpowiedzią, spłoniona Brooke. -Gable, schodź natychmiast, ty niegrzeczny kocie!

- Cóż, nie określiliśmy konkretnej stawki - zaczął powoli Garrett, chcąc jeszcze bardziej ją, zirytować. - Ale skoro wygrałem, to chyba mam prawo wybrać sobie nagrodę...

- Nie, nie masz - wpadła mu w słowo.

Cisnawszy mu wściekłe spojrzenie, podsunęła stołek do kredensu, by móc sięgnąć po kota.

- A właśnie, że mam - powtórzył z uporem. - Wybieram... śniadanie... w...

- Nie ma mowy!

- .. Boulder - dokończył z szelmowskim uśmiechem. - Jutro rano, ty, Molly i ja. A potem oprowadzisz nas po mieście.

Odwróciła się, przyglądając mu się niepewnie.

- No dobrze - wykrztusiła z trudem. - Może wreszcie przestaniesz ciągle namawiać mnie do robienia zakładów.

- Nie jestem pewien, czy to możliwe. To jak, jutro o dziewiątej? - zapytał, pomagając jej zejść ze stołka.

Trzymając jej drobna, rękę w swojej dłoni, zdał sobie sprawę, że nie może ona być taką manipulantką, za jaką uważał ją przed przyjazdem do Glennhaven. Celem jego podróży było odkrycie, jakim argumentem przekonała stara, nieco zbzikowana, kobietę by zapisała jej część niesłychanie wartościowej posiadłości, a następnie odkupić od niej ten kawałek gruntu. Tymczasem zaledwie po dwóch dniach znajomości był świecie przekonany, iż w przypadku Brooke o żadnej manipulacji lub nieuczciwym zabieganiu o wzglądy Cory Jackson nie mogło być mowy. Brooke westchnęła ciężko.

- Zgoda, niech będzie o dziewiątej - odparła wreszcie, starannie unikając jego wzroku.

Zgodnie z umową Molly i Garrett stanęli w drzwiach domku Brooke punktualnie o dziewiątej.

- Gotowa? - zapytał Garrett, w charakterystyczny dla siebie, wdzięczny sposób przekrzywiając głowę.

- Jak najbardziej - odrzekła. - Miło mi cię widzieć, kochanie - dodała, zwracając się do Molly.

- Czy mogą zobaczyć kotki? - poprosiła dziewczynka, patrząc na nią, błagalnie. – Mogę potrzymać Carole Lombard?

Garrett dotknął delikatnie jej ramienia.

- Jedziemy teraz na śniadanie - przypomniał. - Nie jesteś głodna, słonko?

Mała pokręciła energicznie główką,

- Wolałabym raczej pobawić się z kotami - wyznała szczerze. - Mogę?

Podniósł wzrok na Brooke, pytając ją, w ten sposób o przyzwolenie. Gdy lekko skinęła głową, pogłaskał dziewczynkę po jasnych włoskach.

- Po powrocie będziesz mogła pobawić się z kotkami - obiecał. - Oczywiście, jeśli Brooke nie ma nic przeciwko temu.

- Jasne, że nie - zapewniła z uśmiechem. - Ale teraz umieram z głodu. Pomyślałam, że moglibyśmy pojechać do pewnego uroczego bistro w centrum handlowym na Pearl Street.

Centrum handlowe, o którym wspomniała, było sercem miasta Boulder, a także ulubionym celem wądrówek Brooke, dlatego od razu przyszło jej do głowy, by zabrać tam Garretta i Molly. Na szczęście bez większych trudności udało im się znaleźć wolne miejsce na zwykle zatłoczonym parkingu.

- A więc czas na śniadanie - powiedział Garrett, wyciągając kluczyk ze stacyjki. - Niestety, nie w...

- Garrett! - przerwała mu Brooke, zerkając wymownie na usadowioną, na tylnym siedzeniu dziewczynkę.

- Śniadanie w Boulder. - Uśmiechnął się łobuzersko. - Lepszy rydz niż nic, prawda, Molly?

- Tak, Gart - potwierdziła mała, choć nie bardzo pojmowała, o co tak naprawdę chodzi.

- Ale nie muszę jeść rydzów, prawda? Wolę naleśniki.

- Ja też - zgodziła się z nią, Brooke. - A ty, Garrett? Zjesz z nami naleśniki?

- Miałbym raczej ochotę na coś innego. Może moglibyśmy to przedyskutować...

Brooke stwierdziła, iż w tej sytuacji nie pozostaje jej nic innego, jak radykalnie zakończyć ten niewygodny temat, toteż bez słowa otworzyła drzwi i wysiadła z auta.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

Centrum handlowe przy Pearl Street było doskonałym miejscem do obserwacji ludzkich zachowań, ponieważ przewijały się przez ten tysiące osób dziennie. Turyści z całego świata podziwiali jego niespotykana, konstrukcję. Otoczone ceglanymi kamienicami, kontrastowało z nimi przede wszystkim pod względem stylu. Długie galerie niewielkich butików oraz kawiarenek i restauracji przykryte były niesłychanie nowoczesnym szklanym dachem. Przez okrągły rok, w dzień i w nocy, odbywały się tu przeróżne imprezy kulturalne, jednym słowem można było spotkać wiele barwnych, nietuzinkowych postaci.

Cała trójka zasiadła przy niewielkim stoliku, ustawionym pod kolorowa, markiza, Na początek zamówili dwie filiżanki kawy o delikatnym posmaku migdałów oraz trzy szklanki soku pomarańczowego. Brooke i Molly zdecydowały się na naleśniki ze świeżymi owocami, natomiast Garrett wybrał zestaw śniadaniowy, złożony z przysmażanych ziemniaków, jajek oraz kiełbasek.

W oczekiwaniu na realizację zamówienia, rozglądali się ciekawie, obserwując przechodzących ludzi. Garrett jednak tak naprawdę przypatrywał się siedzącej naprzeciw Brooke. Tego dnia ubrana była w lekka, zwiewną sukienką w różowe i kremowe kwiatuszki. Wyglądała naprawdę uroczo, tak że trudno mu było oderwać od niej wzrok.

- Ładna - wyrwało mu się.

- Co takiego? - zdumiała się.

- Sceneria - odparł wymijająco. - Często tu przychodzisz? Nie spojrzała nawet na niego, udawała, że jest skupiona na obserwacji przechodzącej obok nich objętej czule pary.

Nawet przez moment nie wierzył, że aż tak jest jej obojętny, ale postanowił, że nie da po sobie niczego poznać.

- Nie - odpowiedziała wreszcie. - Raczej rzadko. Tylko wtedy, gdy muszę przyjechać do miasta.

- Musisz? - podchwycił.

- Wolę siedzieć w domu. Wiesz, mam tam to, co lubię: samotność, piękno przyrody...

- Rozumiem - mruknął.

A zrozumiał właśnie, że będzie mu trudniej przekonać ją do swych racji, niż przypuszczał. Może odrobina współczucia okaże się pomocna.

- Ale chyba czujesz się samotna tam, na tym pustkowiu, zwłaszcza odkąd jesteś sama - ciagnął.

- Ależ nie jestem sama. Czyżby miała na myśli jego?

- Mam przecież moje koty - dodała, jak gdyby czytała w jego myślach.

- Daj spokój, Brooke. Przecież jesteś młodą piękną kobietą..

Specjalnie zaakcentował wyraz „piękna”, ponieważ ciekaw był jej reakcji na ten komplement. Nie zawiódł się, gdyż na jej policzki wypłynął purpurowy rumieniec.

- Musisz więc chyba prowadzić jakieś życie towarzyskie - dokończył.

- Muszę? - powtórzyła z przekasem.

- To prawo natury. - Uśmiechnął się prowokująco. - No wiesz, mężczyzna, kobieta...

- Jeśli rzeczywiście takie jest prawo natury, to gdzie jest twoja kobieta? - odparowała, odgarniając włosy nieco nerwowym gestem.

- Czy to był niezbyt subtelny sposób dowiedzenia się, czy mam kogoś w Chicago? - roześmiał się.

- Słyszałam, jak rozmawiałeś przez telefon z jakąś kobietą,- przyznała.

- Ach, z Caroline? To tylko znajoma.

- Z jaką Caroline? - zdziwiła się. - Miałam na myśli Dee-Dee.

- Ojej - westchnał. - Dee-Dee to też tylko znajoma. Wiesz, jestem raczej towarzyskim facetem - dodał tonem wyjaśnienia.

Co do tego, to ani przez chwilę nie miała wątpliwości, nie chcąc jednak wdawać się w dyskusję, zwróciła się do Molly:

- Jesteś dziś jakaś małowówna, kochanie - zauważyła z troską, w głosie. - Jak ci się tu podoba?

- Jest w porządku - odparła mała, odstawiając na stół pustą szklanekę po soku.

- Tylko w porządku? - Brooke pogłaskała ją delikatnie po głowce. - O co chodzi? Nudzi ci się?

- Tak - odrzekła dziewczynka szczerze.

- A może chciałabyś powiedzieć mi coś więcej na ten temat?- zachęciła Brooke.

Molly zastanawiała się przez chwilę. Garrett aż wstrzymał oddech. Tak bardzo pragnął, by mała zaczęła wreszcie mówić o swych odczuciach. Nie liczyło się, komu to powie, najważniejsze, aby się otworzyła.

- Nie - powiedziała Molly w końcu. - Chciałabym pójść popatrzeć, jak się bawią tamte dzieci - wyznała, wskazując ruchem głowy grupkę maluchów, kręcących się wokół wielkiej, odlanej z brązu żaby, ustawionej nieopodal na deptaku. Niedaleko niej znajdowały się inne figurki podobnej wielkości. Był to królik, ślimak oraz bóbr, wszystkie umieszczone tam dla uciechy młodszej części odwiedzających.

Garrett poczuł przypływ niepokoju, jak zawsze, gdy istniała taka możliwość, że Molly znajdzie się poza jego bezpośrednim zasięgiem.

- Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł - zauważył.

- Proszę, Gart. - Molly posłała mu błagalne spojrzenie. Zawahał się, po czym zerknął w kierunku Brooke, jak gdyby chciał prosić ją o pomoc w podjęciu decyzji. W jej spojrzeniu wyczytał zrozumienie oraz współczucie.

- Nic złego się nie stanie - zapewniła, pochylając się lekko w jego kierunku. - Bądźmy przez cały czas mieli ją na widoku.

- Nie jestem do końca przekonany...

- Proszę, Gart, mogę?

- Proszę - zawtórowała jej Brooke, uśmiechając się figlarnie.

- Jestem nadopiekuńczy, tak? - domyślił się.

- Może troszeczką- pocieszyła. - Ale to całkowicie zrozumiałe.

- W takim razie... - zawahał się. - Zgoda, ale czy możesz poczekać, aż zjemy śniadanie? Jeśli nadal będziesz miała ochotę...

Przez twarz dziewczynki przemknął cień rozczarowania i w jednej chwili wydawało się Garrettowi, iż mała zaprotestuje, ale nic takiego się nie wydarzyło. Szkoda. Czasami pragnął, by się choć raz sprzeciwiła, by pokazała różki. Była taka posłuszna, że aż zbyt idealna. Tym razem również zaledwie westchnęła i powróciła do obserwowania bawiących się radośnie dzieci. Na szczęście za chwilę podano ich posiłek, który wyglądał fantastycznie, a smakował jeszcze lepiej, tak że nawet Molly, która zwykle

dziobała w swym talerzu widelcem, jadła z wyraźnym apetytem. Dorośli ledwie zdążyli zacząć, gdy ona zwróciła pełne nadziei i oczekiwania spojrzenie na Garretta.

- Czy grzecznie zjadłam? - zapytała.

Przyjrzał się dokładnie jej talerzowi i stwierdził, że pochłonęła pół dużego naleśnika oraz prawie wszystkie owoce, co było dużą porcją, jak dla tak drobnej osóbk.

- Bardzo grzecznie - zapewnił, uśmiechając się szeroko.

- Czy mogę teraz iść pobawić się z dziećmi? - poprosiła. Nie miał innego wyjścia, jak wyrazić zgodę, więc choć niechętnie, skinął wreszcie głową

- Ale bądź na widoku, dobrze? - przypomniał.

- Dobrze - obiecała, zsuwając się z krzesła.

Była tak uradowana perspektywą, wesolej zabawy, że Garrett na moment zapomniał o swym niepokoju.

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze - zapewniła Brooke. - Możemy ją stad bez trudu obserwować.

- Masz rację - przyznał, odkładając sztucę, ponieważ jakoś stracił apetyt. - Jeśli zachowuję się nadopiekuńczo, to... - zawiesił głos, nie bardzo wiedząc, jak wytłumaczyć swą postawę.

- Nie określiłabym tego w ten sposób - stwierdziła, sięgając po kiść winogron. - Jesteś po prostu świeżo upieczonym ojcem. Uważam, że doskonale sobie radzisz.

- Naprawdę? - Popatrzył na nią z niedowierzaniem. Przyzwyczajony był do tego, że wszyscy znajomi krytykowali go za brak umiejętności w wychowaniu dziecka, dlatego tym cenniejsza wydała mu się ta nieoczekiwana pochwała.

Brooke dobitnie skinęła głową. Zauważył, że praktycznie wszystko robiła w ten sposób, wkładała we wszystko dużo entuzjazmu i serca.

- Na pewno nie było to dla ciebie łatwe - ciągnęła. - Jako samotny mężczyzna wzięłeś na siebie odpowiedzialność za małe dziecko, zapewne przewróciło to twoje życie do góry nogami.

- Ale gdybym miał jeszcze raz podjąć tę decyzję, bez chwili wahania postąpiłbym tak samo - zapewnił.

- Byłeś kiedyś żonaty? - zapytała ni stąd, ni zowąd, spoglądając mu prosto w oczy.

- Nie. A ty?

- Oczywiście, że nie - oburzyła się. Nie miał pojęcia, czym ją aż tak uraził.

- Co ja takiego powiedziałem? - chciał wiedzieć.

- Gdybym wyszła za mąż, wciąż byłabym zameżna... albo byłabym wdową - odparła, przywołując na twarz słaby uśmiech.

Po prostu nie mógł zmarnować takiej okazji, musiał troszeczkę się z nią podrażnić.

- Proszę, proszę, kogo my tu mamy, prawdziwie staroświecką dziewczynę - zażartował.

- Owszem - odparła unosząc wysoko brodę. - Po prostu wierzę w małżeństwo aż po grób. Ale, ale, ty chyba też masz takie zapatrywania. Spójrz na siebie, masz trzydzieści lat...

- Trzydzieści dwa - sprostował.

- Dobrze, trzydzieści dwa. Mogłeś przecież do tej pory kilka razy ożenić się i rozwieść, gdybyś lekko traktował instytucję małżeństwa.

- Albo małżeństwo ma dla mnie tak niewielkie znaczenie, że po prostu nie zadałem sobie nawet tyle trudu, by się chociaż raz ożenić - podsunął.

Jego słowa wyraźnie ją zaskoczyły. Widział w jej brakowych oczach niedowierzanie oraz rozczarowanie, ale nie podjęła dyskusji. Szczerze mówiąc, liczył, że da mu szansę obrony, lecz tak się nie stało.

- Mam nadzieję, że to nieprawda, bo w przeciwnym razie byłoby to bardzo, bardzo smutne - stwierdziła w końcu. - Oczywiście, ta kwestia zupełnie mnie nie interesuje, podobnie jak twoje życie uczuciowe. To wyłącznie twoja sprawa.

- Z miłą, chęcią, to zmienię - zaproponował, zanim zdążył się zastanowić, co tak naprawdę może to oznaczać.

- Czyżbyś proponował mi letni romans? - zachnęła się. - Dziękuję, nie.

- Ale chyba rozważałaś taka, możliwość. - Uśmiechnął się zaczepnie.

- Oczywiście, że nie! - zaprzeczyła gwałtownie, rumieniac się tak intensywnie, iż trudno się było nie domyślić, że kłamie. - Chodziło mi po prostu o Molly. Twój stan cywilny obchodzi mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg.

- Naprawdę? Przykro mi to słyszeć. Tym bardziej że jestem pewien, że udałoby nam się znaleźć parę sposobów na uprzyjemnienie sobie tego lata.

Brooke zerwała się na równe nogi, opierając na biodrach zaciśnięte w pięści dłonie. Nie mógł nie spostrzec, jak jest urocza, gdy się gniewa.

- Molly macha do nas - oznajmiła oschle. - Jeśli skończyłeś...

- Nie - odparł, podnosząc się. - Ale odłóżmy na razie na bok to, co nam chodzi po głowach i zajmijmy się Molly.

Już otwierała usta, by coś odpowiedzieć, ale wyraźnie zmieniła zdanie, gdyż zacisnęła je w wąziutką linijkę, po czym odwróciła się na pięcie. Zadowolony z obrotu sprawy Garrett wyjął z portfela kilka banknotów, i położywszy je na stoliku, ruszył jej śladem. Przez całą drogą powrotną, do domu Brooke rozmyślała nad sytuacją w jakiej się znalazła i nie były to nader przyjemne myśli. Garrett Jackson stanowił typ playboya takiego, co to dziś jest tu, a jutro tam. Zwykle mężczyźni tego pokroju zupełnie jej nie odpowiadali, tym razem jednak coś ją do niego ciągnęło. Rzuciła ukradkowe spojrzenie w jego kierunku. Siedział za kierownicą, całkowicie skupiony na prowadzeniu swego zwinnego, sportowego auta. Nie miała pojęcia, czemu tak bardzo zależało mu, by uważała go za pozbawionego jakichkolwiek zasad kobieciarza. Podejrzywała że pod tą maską kryje się skomplikowana osobowość, tylko czy bezpiecznie było starać się ją poznać?

Gdy wreszcie znaleźli się w Glennhaven, Molly przypomniała o danej jej rano obietnicy.

- Czy mogę teraz odwiedzić koty? - poprosiła grzecznie.



- Jeśli Brooke nie ma nic przeciwko temu - zastrzegł Garrett.
- Oczywiście, że nie - zapewniła. - Jeżeli masz w tym czasie coś do zrobienia, to chętnie zaopiekuję się Molly, a potem odprowadzę ją do domu.
- Miała nadzieję, że uda jej się uniknąć spędzenia kilku kolejnych godzin w jego towarzystwie, ponieważ jego obecność zwykle nie pozwalała jej zebrać myśli.
- Chętnie dotrzymam wam towarzystwa - zdecydował.
- Ale... - oponowała słabo, nie chcąc wyjść na źle wychowaną
- Wydaje mi się, że powinienem spróbować zapoznać się bliżej z twymi kotami, jeśli mamy spędzić razem całe lato.
- Pewnie tak, ale...
- A ty powinnaś spróbować zaprzyjaźnić się z moimi psami - dokończył.
- Co to, to nie - zaprotestowała stanowczo, czując ucisk w gardle.
- Nigdy nie mów nigdy - skomentował, wysiadając, by otworzyć im obu drzwi. - Założę się, że gdybyś się choć odrobinę postarała, pokonałabyś w sobie tę bezzasadną nienawiść.
- Po pierwsze, to nie jest nienawiść, a raczej strach, zaś po drugie, nie jest on bezzasadny. - Zagryzła wargę żałując, iż powiedziała tak dużo.
- Ach tak. A może opowiesz mi więcej o tym - zaproponował, wyjmując z jej dłoni klucze, by otworzyć drzwi do jej domku.
- Nie ma tu nic do opowiadania - ucięła, po czym z uśmiechem zwróciła się do Molly: - Chcesz się bawić z Gable'em i Carole, czy może wolałabyś poznać pozostałych gości? Jestem pewna, że Pookie szczególnie przypadnie ci do gustu. Wręcz uwielbia pieszczoty.
- Garrett posłał jej prowokujący uśmiech, a następnie zwrócił się do dziewczynki:
- Który facet tego nie lubi, prawda? Molly z uśmiechem kiwnęła głową,
- Ach, nie ma to, jak być młodym i niewinnym, pomyślała Brooke.
- Podczas gdy Molly pochłonięta była zabawą z kotami, Brooke zmuszona była zająć się jej ojcem. Nie wiedzieć czemu czuła się bardziej niezręcznie w jego obecności tu, w doskonale znanym jej otoczeniu, niż na neutralnym gruncie centrum handlowego w Boulder. Zauważyła, że od jakiegoś czasu stał się dziwnie milczący i zamyślony. Zastanawiała się, jaki jest tego powód, choć przez skórę czuła, iż odpowiedź na to pytanie nie przypadłaby jej do gustu.
- Brooke - zaczął niesłychanie poważnym głosem. - Jest coś...
- Nie teraz - przerwała mu pospiesznie. - Może opowiedziałbyś mi o swych wrażeniach z wycieczki do Boulder? Nie widziałeś wprawdzie jeszcze wszystkiego, ale masz już chyba jakieś zdanie na...
- Dajmy spokój Boulder. Naprawdę muszę porozmawiać z tobą o czymś szalenie ważnym.
- Nie wiem, czy mam ochotę to usłyszeć - odparła, odchylając się na oparcie krzesła.

- Nie chciałbym na ciebie naciskać, ale i tak zwlekałem z tym zbyt długo - ciągnął nie zrażony. - Jaka jest twoja cena, Brooke?

- Moja cena czego? - wypaliła, nie zdążywszy się zastanowić nad swymi słowami.

- Aha! - Uśmiechnął się. - Widzę, że jesteś gotowa ustąpić w tamtej kwestii.

- Na pewno nie - mruknęła zażenowana. - Mówisz o moim domu, tak?

- O domu i działce, na której stoi. Będę z tobą szczery: jestem zdecydowany wejść w ich posiadanie i zrobię wszystko, by się tak stało. Nie mam pojęcia, czemu Cora zapisała ci to wszystko w testamencie, ale to akurat jest w tej chwili najmniej istotne.

- Ja też nie wiem, czemu to zrobiła.

Spojrzał jej prosto w oczy, jak gdyby chciał się przekonać, czy mówi prawdę.

- Powiedzmy, że tak jest rzeczywiście - powiedział wymijająco.

- Jesteś wyjątkowo miły - prychnęła urażona.

- Nie denerwuj się. Lepiej powiedz, jakiej ceny żadasz.

- Nie zadam żadnej ceny - oświadczyła wolno i dobitnie. - Ten dom nie jest na sprzedaż.

- Wszystko jest na sprzedaż, Brooke.

- Nie rób tego - poprosiła. - Nie łam pannie Corze serca.

- To fizycznie niemożliwe, bo ona nie żyje - przypomniał ze spokojem.

- Ale była twoją cioteczną babką w jej żyłach płynęła ta sama krew, co w twoich.

Wyraźnie zaznaczyła, że nie chce, byś sprzedał jej posiadłość.

- Teraz to już bez różnicy. - Wzruszył ramionami. - Panna Cora odeszła na zawsze. Nigdy się nie dowie, co zrobiłem z jej domem.

- Może tak, a może nie. Ale zgodnie z jej testamentem...

- Brooke, zapominasz, że jestem prawnikiem. Myślisz, że złamanie testamentu nastęrczyłoby mi jakiegokolwiek trudności?

- Ale po co? - Nie rozumiała. - Czy aż tak bardzo potrzeba ci pieniędzy?

- Nie chodzi o pieniądze - odparł spokojnie. - Chcę po prostu zaoszczędzić sobie kłopotu, jakim byłoby utrzymywanie tej posiadłości.

- W takim razie oddaj ją na schronisko dla kotów, tak jak sobie życzyła panna Cora - podsunęła.

- Jestem zbyt praktyczny, by przystać na takie rozwiązanie - odparował, kręcąc się na krześle, co było jedyną, jak dotąd oznaką, że mimo wszystko nie jest tak opanowany, jak jej się wydawało. - Posłuchaj, Brooke. Przyjechałem tu tylko dlatego, że chciałem spędzić trochę czasu z Molly.

- To godne pochwały, ale...

- Nie ma żadnego ale - przerwał jej odrobiną niecierpliwym tonem. - Nie musiałem się tu w ogóle pojawiać, nawet z powodu jakiegoś tam testamentu.

- A więc podjalesz decyzję jeszcze przed przybyciem tutaj?

- zapytała ze smutkiem w głosie.

- Oczywiście.

- I nie byłeś choćby trochę ciekawy, jaka była twoja cioteczna babka?

- Niespecjalnie. Wspominałem ci już chyba, że nie wolno było nikomu z rodziny wypowiadać jej imienia.
  - Tak, ale to przecież nie z jej winy...
  - Och, przestań wreszcie wierzyć w te romantyczne bzdury!- zachnął się. - Tobie się wydaje, że wszystko jest albo białe, albo czarne, a tymczasem świat pełen jest przeróżnych odcieni szarości. Cora wcale nie była prześladowanym aniołem.
  - Nigdy tak nie twierdziłam - broniła się. - Ale jakaż ona okropną zbrodnię popełniła? W wieku piętnastu lat uciekła z domu. Chyba można jej było to wybaczyć.
  - Masz trochę racji, ale nie do końca. Po pierwsze, uciekając z domu, miała lat siedemnaście, a nie piętnaście.
  - Co takiego? Ale przecież mówiła mi, że jako szesnastolatka zagrała w swym pierwszym filmie.
  - Tak naprawdę miała wtedy osiemnaście lat - sprostował.
  - Czemu niby miałyby kłamać?
- Dlaczego miałyby mnie okłamywać, dodała w myślach.
- Przypuszczam, że gdy ci to opowiadała, sama już nie wiedziała, co jest prawda, a co nie - zauważył.
- Nie miała jakoś wątpliwości, że mówił prawdę, trudność sprawiało jej raczej przyswojenie sobie tych nowych informacji.
- W porządku, była wtedy o dwa lata starsza, niż mi się zdawało - przyznała wreszcie. - Tyle że to tak naprawdę niczego nie zmienia. Była zbyt młoda, by odpowiadać za swoją lekkomyślność i z tego powodu zostać na zawsze wyklętą z rodziny.
  - Nawet jeśli nie wyjechała z Chicago całkiem sama? Zimny dreszcz przebiegł po plecach Brooke.
  - Z kim uciekła? - zapytała powoli, podnosząc na niego wzrok.
  - Z narzeczonym swej starszej siostry.
  - To ona miała siostrę? Ale ja myślałam, że... - Zawiesiła głos, gdy powoli zaczęła do niej docierać prawda.
  - Miała na imię Maude. Ich ojciec odszukał wreszcie Corę, lecz nikt nie wie, co sobie wtedy powiedzieli. Gdy wrócił do domu bez niej, zamknął się z Maude w bibliotece, gdzie bardzo długo rozmawiali, a kiedy w końcu wyszli, zapowiedzieli, że od tej pory nikt z rodziny nie ma prawa wymówić głośno imienia Cory.
  - Jakie to okropne - szepnęła wstrząśnięta Brooke. Gdyby ją o to zapytał, nie potrafiłaby wytłumaczyć, dlaczego mu wierzy, ale czuła, iż w tak ważnej sprawie nie mógłby jej okłamać.
  - A Maude? Czy ona jeszcze żyje?
  - Nie. - Pokręcił energicznie głową - Najwyraźniej Cora nie miała o tym pojęcia, ponieważ cały swój majątek zapisała siostrze, a że ja jestem spadkobiercą Maude, posiadłość przypadła w udziale właśnie mnie.
  - Czy Maude wyszła w końcu za męża?

- Nie.

- A czy wybaczyła siostrze?

- Nie.

- O ile się orientują, ty też nie - westchnęła.

- Moje uczucia nie mają, tu najmniejszego znaczenia, poza tym, że jestem lojalny wobec Maude, podobnie jak ty w stosunku do Cory. Wiem, że pragnęłaś usłyszeć co innego, ale chyba wolisz znać prawdę.

- Tak - wybadała, choć wcale nie była tego taka pewna. Nagle przypomniała sobie coś. - Czy to Robert Browne był mężczyzną który złamał serce Maude?

- Owszem.

- Czy w takim razie w ogóle nie liczy się fakt, że on i Cora byli małżeństwem przez pięćdziesiąt lat, aż do dnia jego śmierci? - ożywiła się. - Jak widzisz, była to prawdziwa miłość.

- Wiem, że się pobrali... - odparł Garrett w zamyśleniu. - Ale to niczego nie zmienia - dodał z uporem. - Dlatego proszę cię po raz kolejny, powiedz, jakiej sumy oczekujesz w zamian za twój dom. Będzie mi trudno sprzedać moją część, ale poruszę niebo i ziemię by to uczynić, jeśli mnie do tego zmusisz.

- Moja odpowiedź ciągle brzmi: nie. - Uniosła dumnie głowę. - Nie poddam się, nie liczę na to.

- A ty nie licz na to, że uda ci się ze mną wygrać - zapowiedział złowieszczym tonem. Patrzyli sobie prosto w oczy, a żadne z nich nie zamierzało odwrócić wzroku, gdyż byłoby to oznaką słabości. W miarę, jak napięcie między nimi wzrastało, ich twarze przybliżały się do siebie, czego zupełnie nie byli świadomi. Dopiero po jakiejś chwili Brooke zorientowała się, co się dzieje.

- O, nie! - wykrzyknęła, zrywając się z miejsca. - Nie dam się zastraszyć.

- Nazywasz to zastraszaniem? - roześmiał się. Jakiś głęboki ton, obecny w jego głosie, przyprawił ją o dreszczyk.

- Jak zwał, tak zwał - warknęła, idąc w kierunku drzwi. - Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

- Ale...

- Idź do domu, Garrett! - przerwała mu ostro. - Nie widzisz, że już mi wystarczy na dziś?

Otworzyła drzwi i w tym momencie coś puchatego przemknęło między jej stopami, tak że aż pisnęła z przerażenia.

- Co to było? - ledwo wydusiła z siebie.

- To chyba był Jednooki Dick - wyjaśniła Molly, tuląc w objęciach uszczęśliwionego Pookiego.

- Ojej - jęknęła Brooke i wyrzała na zewnątrz. - Dick ma czasem szalone pomysły, ale chyba uda mi się go znaleźć.

Zawdzięczał on swój przydomek temu, iż brakowało mu jednego oka, które stracił w bójce jeszcze w czasach, gdy wiódł smutny żywot dachowca. Rzeczywiście był całkowicie nieprzewidywalny i gdy go coś napadło, nie wiadomo było, gdzie go szukać.

Garrett skinal dłonią na Molly.

- Chodź, kochanie. Czas do domu.

- Ale...

- Niestety, musimy już iść.

Dziewczynka niechętnie ułożyła podobnie jak ona rozczarowanego Pookiego na fotelu, Brooke zaś, nie czekając na nich, udała się na poszukiwanie swego podopiecznego. Wołała go po imieniu, ale bez skutku. Dotarła aż do bramy Glennhaven, gdy zauważyła uciekiniera, który siedział na środku drogi, wpatrzony w coś fascynującego, co znajdowało się na gałęzi wysokiego drzewa.

- Tu jesteś! Ty niegrzeczny kocie! - ofuknęła go. - Nie powinieneś się tu włóczyć, bo...

W tym momencie brama się otwarła, przerywając jej kazanie wygłaszane do Jednookiego Dicka i na drogę wypadł z głośnym ujadaniem Larry. Ujrzawszy kota, rzucił się do ataku. Dick natomiast nie ruszył się z miejsca, tylko zjeżył grzbiet. Widząc, co się święci, Brooke szybko ruszyła na pomoc swemu podopiecznemu. Słyszała za sobą kroki Garretta, ale nie mogła marnować czasu, czekając na jego pomoc. Ona i Larry dopadli kota dokładnie w tej samej sekundzie. Niewiele myśląc, złapała go na rękę. Dopiero po upływie chwili zorientowała się, że trzyma nie Jednookiego Dicka, lecz tę czarno-białą, bestię. Jakby tego było mało, w bramie ukazała się pani Sisk.

- Co się tu, na litość boską.. - zaczęła.

- Mój kot! - zawołała Brooke, nie zwracając na nią uwagi. - Gdzie jest mój kot?

- Zdaje się, że wdrapał się na drzewo - poinformował Garrett. - Nic ci się nie stało, Brooke? Szczerze mówiąc, to nie było najmądrzejsze posunięcie. Nie wolno wchodzić między dwa wrogo nastawione zwierzęta. Mogła ci się stać krzywda.

- Co to ma wszystko znaczyć, panie Jackson? - wtraciła się pani Sisk. - Czy rozdzielanie walczących psów i kotów ma potrwać do końca lata? Bo jeśli tak, to gotowa jestem już w tej chwili spakować moje rzeczy i wrócić natychmiast do Chicago.

- Ależ, pani Sisk, na pewno uda nam się wymyślić jakiś sposób, aby więcej nie dochodziło do takich sytuacji - próbował ją uspokoić Garrett. - Gdyby mogła pani się uzbroić w cierpliwość. ..

- O, nie - zaprotestowała Brooke. - Musisz się pozbyć tych psów, Garrett. Innego wyjścia nie ma.

- Jak to, nie ma? - Posłał jej zimne spojrzenie. - Jest inne wyjście. Ty możesz się pozbyć kotów...

- Najlepiej będzie, jak zabiorę stąd Molly do Chicago, do jej domu - przerwała mu niania - To nie jest miejsce dla takiego wrażliwego dziecka jak ona, mówiłam to panu od samego początku. Czemu nie przyzna pan, że popełnił błąd...

- Dlatego że... - zaczął Garrett, ale szybko umilkł i zaczął rozglądać się dokoła z niepokojem. - A gdzie jest to wrażliwe dziecko?  
- Ojej - jęknęła Brooke. - Czyżbyśmy ją czymś wytracili z równowagi?  
Cóż za mieszanka: szalony kot, zły pies i zdenerwowane dziecko, pomyślała z rezygnacją. Nie miała pojęcia, co należało teraz uczynić. Odwróciwszy się, zaczęła się rozglądać po okolicy. Niemal natychmiast spostrzegła siedzącą, nieopodal pod drzewem Molly. W jej objęciach spoczywał Jednooki Dick, natomiast Larry leżał obok, z pyskiem na jej kolankach. Oba stworzenia patrzyły na siebie z niechęcią, ale żadne nie zamierzało wznowić walki. Przynajmniej nie w tej chwili.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Parę minut później pani Sisk z miną wyrażającą pełną dezaprobatę zabrała Molly do domu. Gdy zniknęły z pola widzenia, Brooke zwróciła się do Garretta, który kucnął na drodze, chcąc przytrzymać Larry'ego.

- Pani Sisk zamierza odejść - zawyrokowała.  
- Niemożliwe - odparł zdecydowanym głosem. - To wszystko było na pokaz. Jestem pewien, że za nic nie zostawiłaby Molly tylko ze mną  
- Wcale nie zamierza jej zostawiać.  
- Co masz na myśli? - Podniósł na nią pełne niepokoju spojrzenie.  
- Nie słyszałeś, co powiedziała? Chce zabrać Molly z powrotem do Chicago.  
- Nie ma mowy - stwierdził stanowczo. - Nigdy się na coś takiego nie zgodzę. Zresztą na pewno źle ją zrozumiałaś, ta kobieta nie zrezygnuje.

W tej chwili Brooke uświadomiła sobie, jak bardzo zaangażowała się w sprawy, które zupełnie jej nie dotyczyły. A przecież obiecywała sobie solennie, że będzie się trzymać z daleka od Jacksonów!

- Niech ci bądzie - westchnęła i poprawiwszy ułożonego na jej ramieniu Jednookiego Dicka, ruszyła w kierunku swego domku. - Ale nie masz racji - dodała cicho, nie mogąc się powstrzymać.

- Chcesz się założyć?

Ten człowiek musiał mieć słuch jak nietoperz! Powoli odwróciła się w jego stronę. W jego oczach lśniły figlarne ogniki.

- Tak, wyobraź sobie, że chcę się założyć, panie mądralo! - oświadczyła ku swemu zaskoczeniu.

- Aha, mam cię! - zawołał radośnie, po czym podniósł się, wypuszczając zadowolonego z obrotu sprawy Larry'ego.

- Hej, chwileczkę! - Cofnęła się o krok. - Tak mi się tylko powiedziało.

Garrett pokręcił głową,

- Nie możesz się teraz wycofać. Właśnie założyłaś się ze mną, że pani Sisk nie wytrzyma tu do końca lata. A więc, jaka, przyjmujemy stawkę?

- Nie mam pojęcia.

- W takim razie pomogę ci coś wymyślić - zaofiarował się zacierając z uciechy dłoń. - Co, na przykład, powiesz na śniadanie...

- No wiesz, Garrett, ty ciągle o jednym - jęknęła.

- Uwielbiam się z toba, droczyć - wyznał. - Daj spokój, Brooke, obydwójecie jesteście dorośli. Co by się stało, gdybyśmy trochę zaszaleli tego lata?

Rozpaczliwie szukała w głowie jakiegoś tematu, który mógłby przynajmniej na chwilę odciągnąć jego uwagę, od kwestii zakładu. Nie przychodziła jej też na myśl żadna nagroda, jaka, mogłaby zaproponować. A może powinna zaryzykować i zgodzić się? W tym momencie wyobraźnia posłusznie podsunęła jej obrazek, jak siedzi w swym łóżku, oparta o stos miękkich poduszek, a Garrett Jackson podaje jej na tacy lekkie śniadanie... Zrozumiała, że bez względu na to, kto komu będzie podawał śniadanie do łóżka, to i tak ona będzie stroną przegraną, ponieważ Garrett i łóżko to była mieszanka zdecydowanie wybuchowa.

Uśmiechnął się łobuzersko, jak gdyby czytał w jej myślach.

- Czekam - przypomniał.

- Dobrze - Co ty na... na to? Jeśli przegram, zabiorę ciebie i Molly na piknik z okazji Świata Niepodległości.

- Piknik, powiadasz? - Przyjrzał jej się z uwagą, - A jeśli ja przegram, zaserwuję ci śniadanie do...

- Garrett! - Zniecierpliwiona tupnęła nogą, - Nie masz szans znaleźć się w mojej sypialni, więc lepiej już teraz wybij to sobie z głowy.

- Chcesz się założyć?

- Nie, chcę, żebyś zostawił mnie w spokoju.

- Akurat, i tak ci nie wierzę.

To powiedziawszy, podszedł do niej i położył dłoń na jej ramionach. Poczuła się tak bezradna, że przycisnęła kota do piersi, jak gdyby to była tarcza. Bała się, że jeszcze chwila, a nogi odmówią jej posłuszeństwa.

- Puść tego przekłętą kota, żebyś mógł cię pocałować - powiedział Garrett zdławionym głosem.

Gdyby nie to, że trzymał ją mocno, na pewno by upadła, tak poczuła się słabo.

- Nie ma mowy... - szepnęła.

Na nieszczęście odruchowo przycisnęła Dicka jeszcze mocniej, tak że miauknął ostrzegawczo i zwinnie zeskoczył na ziemię.

- Dobry kotek - pochwalił Garrett, zbliżając swe usta do jej warg.

Brooke poddała się temu pocałunkowi, bo tak bardzo zawładnęła nią cudownie słodka słabość, że nie miała ani siły, ani ochoty, by się bronić. Zapadła w jakiś dziwny trans, z którego obudziła się, dopiero gdy usłyszała, jak Garrett wciąga głęboko powietrze w płuca. W następnym momencie czuła, jak jego wargi delikatnie musnęły jej powieki. Ta subtelna pieśczoła przyprawiła ją o kolejny zawrót głowy.

- Nie walcz z tym, Brooke - wyszeptał Garrett. - Bardzo pragnę zjeść z tobą śniadanie w łóżku, a gdy czegoś tak mocno chcę...

- Nic z tego! - warknęła. Jakimś cudem zdołała wyrwać się z jego objąć. - Jeśli wygrasz zakład, zabieram ciebie i twoją, córkę na piknik, a jeśli przegrasz, masz mnie zostawić w spokoju.

- To niewykonalne - zawyrokował, zupełnie nie przejęty jej wybuchem. - Jak mogę zostawić cię w spokoju, jeżeli mieszkasz dwa kroki ode mnie? Gdybyś była rozsądna i sprzedała mi swój...

Nagle zrozumiała, o co tak naprawdę chodziło. Chciał ją osaczyć, tak by w końcu sprzedała swój domek z czystej potrzeby uwolnienia się od jego osoby.

- Jak śmiesz! - wycedziła i zanim zastanowiła się, co robi, wyciągnęła rękę, by uczynić coś okropnego: uderzyć go. Nim jednak jej dłoń dotarła do jego twarzy, Garrett złapał ją za nadgarstek.

- Brooke! - zawołał, poważniejąc. - Co cię tak zdenerwowało?

- Wiesz doskonale, co! - Wyrwała dłoń. - Dobrze, udało ci się zrobić ze mnie idiotkę, ale nie zdołasz mnie wystraszyć, nawet nie próbuj.

- A więc myślisz, że o to mi chodzi? - Popatrzył na nią, zmrużonymi oczyma. - Myślisz, że chcę cię wystraszyć, żebyś zdecydowała się sprzedać dom?

- To chyba oczywiste!

Garrett pokręcił z niedowierzaniem głową,

- Powiedz mi, czy ty naprawdę jesteś taka naiwna, czy może prowadzisz jakąś grę?

Przez myśl mi nie przeszło, żeby cię straszyć, próbowałem cię raczej... - szukał w myśli odpowiedniego słowa - ...zwabić.

- Zwabić? - Zmarszczyła brwi. - Żebym zdecydowała się sprzedać mój dom?

- Nie, kochanie, tym razem chodzi mi o coś innego. Próbuję zwabić cię do mojego łóżka.

- Wsunął dłoń w jej włosy. - Chyba już nie mogę być bardziej bezpośredni, prawda?

- W takim razie - cofnęła się o krok - nie sadzę, byśmy mogli dalej razem pracować.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Uniósł wysoko brwi.

- Że nie będą mogła ci pomóc w porządkowaniu rzeczy, które należały do panny Cory.

Tak, to doskonałe rozwiązanie, pochwaliła się w duchu. Jeśli nie będziemy się widywali, zdołam go całkowicie wymazać z pamięci.

- Hipokrytka - rzucił prowokacyjnie.

- Co? Coś ty powiedział?

Wsunął ręce w kieszenie, jak gdyby to miało go powstrzymać przed wzięciem jej ponownie w ramiona

- A mnie się zdawało, że tak bardzo szanujesz i podziwiasz pannę Corę.

- Bo tak jest - potwierdziła stanowczo. - Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Czy nie zarzucałaś mi, że dla własnych korzyści zamierzam sprzeciwić się jej ostatniej woli? - przypomniał.

- No tak... ale... - bąkała niepewnie.



- A czy panna Cora nie życzyła sobie wyraźnie, byś pomogła mi posortować jej rzeczy?

- Tak, ale skąd mogła wiedzieć, że się okażesz takim draniem - odparowała.

- Co do tego, to się jeszcze przekonamy - odrzekł ze śmiechem. - Nie rozumiem, jak możesz mnie krytykować za niestosowanie się do życzeń panny Cory, podczas gdy zamierzasz zrobić dokładnie to samo. Ale jeśli taka jest twoja decyzja, to chyba będę musiał zatrudnić jakąś firmę, która zajmuje się przeprowadzkami, żeby pozbyła się tego... - Odwrócił się w kierunku domu.

- Och, nie! - zawołała przerażona - Proszę, nie rób tego! Pomogę ci.

Jego promienny uśmiech powiedział jej, że nawet przez chwilę w to nie wątpił.

- Ale tylko pod jednym warunkiem... - zaczęła

- Czy mi się zdaje, czy Molly mnie woła - przerwał jej, przykładając dłoń do ucha - Chciałbym zostać i pogawędzić tu z toba, ale sama wiesz...

- Garrett! Ja nie żartuję! - zirytowała się. - Musisz przestać...

- Zaczniemy jutro, dobrze? - Ruszył ścieżką w kierunku bramy. - Zjemy lunch i zabierzemy się do pracy.

- Dobrze, ale... - urwała, bo właśnie zniknął jej z oczu.

Kilka godzin później siedziała w swym ulubionym fotelu, a wokół jej stóp szalał mały kociak o wdzięcznym imieniu Misty. Skończyła właśnie porządkowanie kocich apartamentów, które teraz lśniły czystością, a ich nakarmieni mieszkańcy odpoczywali, zadowoleni z życia. Nie można było tego samego powiedzieć o ich opiekunce, która pomimo wszelkich starań nie mogła oderwać myśli od Garretta Jacksona, jego ślicznej córeczki oraz jej niemiłej niani. Oczywiście jej rozważania koncentrowały się głównie na osobie Garretta, który bez zażenowania wykorzystywał jej uczucia wobec panny Cory dla swych własnych niecznych celów. Postanowiła wreszcie, że od tej pory musi zrobić wszystko, aby ich kontakty były jak najmniej osobiste i ograniczały się tylko do wspólnego przeglądania pamiętek po panie Córce. Nie miała przecież zamiaru stać się kolejnym numerkiem na niewątpliwie długiej liście jego podbojów miłosnych!

Przez tydzień zdołała dotrzymać danego sobie słowa. Każdego poranka wędrowała do Gleunhaven, gdzie, trzymając Garretta na dystans, pomagała mu porządkować i spisywać przedmioty, które stanowiły dorobek bogatego i fascynującego życia panny Cory. Z prawdziwą, czcią, dotykała rekwizytów, które wraz z największymi gwiazdami kina niemego brały udział w legendarnych już filmach. Pewnego dnia natknęła się na sznur najprawdziwszych pereł, który wielokrotnie pojawiał się na szyi panny Cory w jej ostatnim filmie. Aż jęknęła z wrażenia, gdy odczytała napis na dołączonej do nich karteczce, nie mogła bowiem uwierzyć, że trzyma w dłoniach kawałek historii światowej kinematografii.

- Co to takiego? - zainteresował się Garrett, który w drugim końcu pokoju układał na półkach oprawione w skórę książki.

Bez słowa pokazała mu naszyjnik.

- Chcesz je? - Najwyraźniej owo cudeńko nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia.

- Nie o to mi chodziło - obruszyła się.

- Możesz je sobie wziąć - oświadczył, wracając do przerwanej zajęcia.

Zagryzła wargi, spoglądając to na perły, to na ich obecnego właściciela. Była w rozterce, gdyż z jednej strony wiedziała, że powinna je sobie zatrzymać, ponieważ on i tak nie doceni ich historycznej wartości. Z drugiej jednak strony zdawała sobie sprawę, iż równie dobrze Garrett mógł to potraktować jako łapówkę, drobny prezent, który miał zachęcić ją do zmiany decyzji co do sprzedaży domu. Już nieraz proponował, aby wzięła sobie meble, listy, biżuterie i choć ani razu nie powiadał tego z kwestia, sprzedaży jej części spadku, to i tak wiedziała, że coś musi się kryć za tą hojnością, a jeśli nie przekupstwo, to co? Poza tym Brooke należała do osób honorowych i nie przyjmowała prezentów, wiedząc, że nie może się za nie w jakiś sposób odwdziżyć. Dlatego i tym razem westchnęła tylko cicho, po czym odłożyła naszyjnik z powrotem do pudełka. Nie zamierza się sprzedać, nawet jeżeli ceną miałby być sznur najprawdziwszych pereł.

- Pani O'Hara prosi, żebyś zjadła z nami lunch - powiedziała Molly, stając w drzwiach. Brooke podniosła wzrok znad skózanego segregatora pełnego starych, pożółkłych wycinków z gazet. Zauważyła, że dziewczynka ostatnio pobiadła i posmutniała, jak gdyby wakacje w ogóle jej nie służyły.

- Proszę - dodała Molly błagalnym głosem.

- Tak, zjedz z nami lunch - poparł ją Garrett, który siedział za ogromnym mahoniowym biurkiem, zawalonym stertami dokumentów.

Codziennie powtarzał się ten sam problem, gdy otrzymywała zaproszenie, którego nie mogła przyjąć, jeżeli chciała uniknąć kłopotów.

- Dziękuję- odparła z uśmiechem. - Lepiej jednak będzie, jak zjem coś w domu, bo będę miała okazję zajrzeć do kotów.

W oczach Molly zalśniły łzy.

- Proszę, zgódź się - wykrztusiła z trudem. - Bardzo cię lubię...

- Ja też cię lubię, ale...

- Jeśli się zgodzisz, obiecuję, że zjem brokuły - zapewniła dziewczynka, zerkając na Garretta.

Brooke domyśliła się, że brokuły były ostatnio tematem ożywionych dyskusji w rodzinie Jacksonów.

- Powinnaś jeść brokuły bez względu na to, czy przychodzę do was na lunch, czy też nie - pouczyła, uśmiechając się łagodnie. - Są nie tylko bardzo zdrowe, ale też doskonale smakują

Molly skrzywiła się.

- Doskonale to smakuje czekolada - odparła z naciskiem. - Brokuły smakują.. - zawahała się, szukając odpowiedniego określenia. - Smakują zielono.

Garrett, który właśnie wychodził za biurka wybuchnął śmiechem.

- A skąd ty to możesz wiedzieć? Przecież ich nawet nie próbowałaś - przypomniał.

- To dlatego, że z góry wiem, że ich nie cierpię- argumentowała Molly. - Pani Sisk każe mi jeść dużo okropnych rzeczy, ale brokułów na pewno nie zjem. - Zwróciła błagalne spojrzenie swych ślicznych, orzechowych oczu ku Brooke. - Chyba że przyjdiesz do nas na lunch - dodała drżącym głosem. - Pani Sisk mówiła, że nie powinnam zwracać ci głowy, ale pani O'Hara powiedziała, że mogę po prostu grzecznie zapytać i ... - urwała.

Aha, czyli pani Sisk nie chciałaby mnie widzieć przy stole, zrozumiała Brooke. Rzuciła ukradkowe spojrzenie na Garretta. Przyglądał się intensywnie, ale nie agitował jej.

- Dobrze, Molly - zdecydowała wreszcie. - Z miłą chęcią, zjem z wami lunch. Dziękuję ci za zaproszenie. Nie zapomnij tylko, że obiecałaś zjeść brokuły.

Radosny wyraz twarzy dziewczynki sprawił, że na moment niemal zapomniała o swych uprzedzeniach w stosunku do jej ojca.

Garrett był zdumiony faktem, iż tak doskonale potrafił czytać w myślach Brooke. Czuł instynktownie, że gdyby przyłączył się do prośby Molly, ich piękna sasiadeczka stanowczo by odmówiła. Pomyślał więc, że jeśli nie będzie się wtracał, Brooke w końcu przyjmie zaproszenie dziewczynki. Tak też się stało.

Idąc za nimi po schodach, z lubością obserwował delikatną, linię policzka Brooke, która pochylała się nad Molly, wsłuchana w słowa dziewczynki. Z równą przyjemnością przyglądał się jej wdzięcznym ruchom i smukłej sylwetce, której nie zdołały ukryć wypłowiałe dżinsy ani rozciągnięty czerwony podkoszulek.

Zastanawiał się, co w niej jest takiego, co go aż tak fascynuje. Pewnie chodziło o to, że jeszcze nigdy nie zdarzyło się tak, aby jakakolwiek atrakcyjna kobieta nie starała się zwrócić na siebie jego uwagi. Pracowali razem już od tygodnia, podczas którego Garrett robił wszystko, by zachować w stosunku do niej dystans, jak to solennie sobie obiecał. Przez ten cały czas obserwował ją z daleka, próbując odnaleźć w niej jakiś słaby punkt. Wiedział, że wreszcie coś znajdzie, bo przecież każdy ma swoją piętę Achillesową. Gdyby zdołał określić, co jest słabym punktem Brooke, otrzymałby odpowiedź na pytanie, jak wydobyć od niej domek, a także jak zdobyć ją samą.. Nie był ślepy i widział, że podoba jej się w równym stopniu, co ona jemu, więc była to tylko kwestia czasu. A czasu miał bardzo dużo, całe lato...

W jadalni Brooke spotkała się z radosnym powitaniem ze strony pani O'Hara oraz chłodnym ze strony pani Sisk. Nie chcąc wprowadzać niepotrzebnego zamieszania, postanowiła pozostać w cieniu i nie wtracać się do rozmowy, ale Molly na to nie pozwoliła. Opowiadała jak nakręcona o swoim psie, o huśtawce, która, Garrett zawiesił dla niej na gałęzi drzewa, o tym, jak bardzo podoba jej się basen.

- Pójdiesz ze mną popływać? - poprosiła, zerkając na Brooke. - Jestem dobrą pływaczką- zapewniła, dziobiąc widelcem sałatkę.

- Nie wątpię- uśmiechnęła się Brooke. Pani Sisk chrzakała głośno.

- Molly, jedz sałatkę-nakazała.

- Dobrze, prosze pani - odparła dziewczynka, nadziewając na widelec mały kawałek marchewki, który szybko włożyła do ust. - A ty umiesz pływać? - zwróciła się ponownie do Brooke.

- Tak. - Skinęła głową

- To dobrze - ucieszyła się mała. - Gart też bardzo dobrze pływa i...

- Molly, przy stole dzieci powinno być widać, a nie słychać- ofuknęła ją, niania.

- Dobrze, proszę pani - odpowiedziała potulnie dziewczynka.

Brooke zacisnęła mocno ząby. Wiedziała, że nie powinna tak myśleć, ale czasami z całego serca pragnęła, by Molly zbuntowała się przeciwko swej nazbyt stanowczej opiekunce.

- Przyzwyczajenia kulinarne Molly pozostawiają wiele do życzenia - oświadczyła pompatycznie pani Sisk, jak gdyby wyczuwając wrogość Brooke. - Im staje się starsza, tym gorzej przedstawia się jej dieta. Teraz ledwie spojrzysz na warzywa, chociaż jeszcze jakiś czas temu...

- Gdy była młodsza, nie miała nic do powiedzenia w sprawie tego, co będzie jeść - przerwał jej dość ostro Garrett. - Teraz może o tym decydować.

- Czy sugeruje pan, że powinno się jej pozwalać jeść tylko to, na co ma ochotę? - oburzyła się pani Sisk.

- Sugeruję, że nikt nie lubi, gdy się mu zagląda w talerz. Jeśli damy jej spokój, na pewno sama się przekona, że warzywa też są smaczne i należy je jeść.

Z każdą chwilą, sytuacja stawała się coraz bardziej napięta, toteż Brooke zaczęła się zastanawiać, co by tu powiedzieć, aby ją rozładować. Niestety, nic mądrego jakoś nie przychodziło jej do głowy.

- Pańskie doświadczenie w kwestii wychowywania dzieci jest dosyć ubogie - zauważyła niania ze złośliwym uśmiechem.

- Może pan więc...

- Proszę, oto i lunch - przerwała jej pani O'Hara, niosąc tacę z talerzami. - Kurczak pieczony, pilaw i brokuły.

Słyszając to, pani Sisk skrzywiła się.

- Molly nie znosi brokułów - oznajmiła. - Udało mi się zmusić ją do jedzenia prawie wszystkiego, ale nie brokułów.

Kucharka postawiła talerze przed Brooke i Molly.

- Może tym razem będzie inaczej - zasugerowała. Niania nic nie odpowiedziała, przewróciła jedynie oczyma z miną osoby, która wie lepiej.

Gdy talerze zostały rozstawione, wszyscy jak jeden mąż zwrócili swe spojrzenia ku Molly, która w milczeniu przysłuchiwała się dyskusji.

- Molly... - zaczęła pani Sisk groźnym tonem.

- Ależ, pani Sisk! - upomniał ją Garrett.

- Brooke? - Molly zwróciła ku niej błagalne spojrzenie. Niewiele myśląc, Brooke poklepała dziewczynkę po ramieniu.

- Życie jest zbyt krótkie na to, by spędzić je, wyklócając się o brokoły - zauważyła sentencjonalnie. - Spróbuj, dobrze? Dla mnie - dodała, zerknąwszy na panią Sisk.

- Dla ciebie, Brooke - powtórzyła Molly z nieznaczną ulgą, w głosie.

Spojrzała na zniechęcone warzywo, po czym wzięwszy głęboki oddech, nadziała na widelec jedną różyczkę i włożyła ją do ust. W następnej chwili na jej twarzyczce pojawił się wyraz zdumienia.

- Całkiem niezłe, prawda? - uśmiechnęła się Brooke, zabierając się za własną porcję, tak by dziewczynka nie poczuła się osamotniona. - To moje ulubione warzywo, dlatego cieszę się, że ci smakuje.

- Może być - przyznała Molly. - Ale czy muszę zjeść całą porcję?

Brooke pogłaskała ją po rączce.

- Nie musisz jeść ani odrobinę więcej niż masz ochotę - zapewniła.

- Nie pani decyduje, co to dziecko ma jeść, a czego nie- przypomniała ostrym głosem pani Sisk.

Molly zerknęła niepewnie to na jedną to na drugą

- Ależ ja... - wykrztusiła zaskoczona tą uwagą, Brooke.

- Zjem wszystko, tylko niech pani nie każe jej iść do domu! - zawołała rozpaczliwie dziewczynka, po czym zaczęła obydwoma rączkami wkładać sobie do buzi brokoły. Po jej policzkach spływały ogromne łzy.

- Dostyc tego! - warknął Garrett, zrywając się na równe nogi. - Przestań, Molly. Brooke ma rację nie musisz tego jeść, jeśli nie chcesz.

- Ależ, panie Jackson! - Niania również podniosła się. - Nie mogę pozwolić panu na podważanie mego autorytetu.

- Wobec tego jest pani wolna.

Pani Sisk osłupiała. Brooke sięgnęła po dłoń Molly i obie w napięciu czekały, co się dalej wydarzy.

Przez dłuższy czas niania stała tak w milczeniu, wpatrzona szeroko otwartymi oczyma w swego pracodawcę, który w międzyczasie usiadł z powrotem za stołem.

- Czy mam przez to rozumieć, że pan mnie zwalnia? - wycedziła przez zęby pani Sisk, opierając obie dłonie na stole.

Garrett, już całkowicie spokojny, podniósł na nią, wzrok.

- Oczywiście, że nie - odparł. - Po prostu uważam, że przyszła pora, by wróciła pani do Chicago, które najwyraźniej podoba się pani dużo bardziej niż Kolorado.

Przez chwilę twarz niani wyrażała dezorientowanie.

- Ach, więc wysyła pan Molly i mnie z powrotem do domu?

- O, nie, Molly zostaje ze mną - sprostował. - Proszę potraktować to jak swego rodzaju wakacje. Porozmawiamy, gdy na jesieni wrócę do Chicago.

- Nie wierzę własnym uszom. Przecież nie da pan sobie rady beze mnie!

- Postaram się - zapewnił łagodnym głosem. - Później jeszcze to przedyskutujemy - dodał, spoglądając znacząco na Molly, która bacznie obserwowała rozgrywającą się scenę.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- O rety! - wyrwało się Brooke, gdy tylko niania opuściła jadalnię.

Garrett tymczasem jadł lunch, jak gdyby nic się nie stało.

- Później - powiedział po prostu, gdy zauważył utkwione w nim jej pytające spojrzenie. Domyśliła się, że ma na względzie dobro Molly, więc nie naciskała dłużej, tylko powróciła do jedzenia. Zazwyczaj przepadała za kuchnią pani O'Hara, ale tym razem była tak przejęta tym, co się stało, że w ogóle nie czuła smaku potrawy. Najwyraźniej jednak tylko jej nie dopisywał apetyt, gdyż talerze Molly i Garretta szybko opustoszały. Weszła kucharka i pełnym zrozumienia spojrzeniem ogarnęła siedzące przy stole towarzystwo.

- Molly, drogie dziecko, przydałaby mi się twoja pomoc w przygotowaniu deseru - oznajmiła pogodnym głosem. - Czy miałabyś wolną chwilkę?

Twarz dziewczynki aż pojaśniała z radości. Z przyzwyczajenia zerknęła w kierunku pustego krzesła pani Sisk, potem zaś przeniosła wzrok na Garretta.

- Czy mogę? - zapytała z nadzieją w głosie.

- Jasne, że tak - odparł z uśmiechem, a rysy jego twarzy wyraźnie złagodniały. - Nie musicie się spieszyć - dodał, zwracając się do pani O'Hara, która skinęła głową w odpowiedzi.

- Wygrałaś - odezwał się ponownie, gdy został sam z Brooke.

- Co wygrałam? - nie rozumiała

- Zakład, oczywiście.

- O czym ty mówisz? - Patrzyła na niego, nie rozumiejąc, co przyszło mu do głowy.

- Powiedziałaś, że pani Sisk nie wytrzyma tu do końca lata - przypomniał. - Miałas rację.

Ach, więc o to mu chodziło.

- Nie, Garrett. - Potrząsnęła głową, - Powiedziałam, że pani Sisk zrezygnuje, a ona nie zrezygnowała, tylko ty ja zwolniłeś.

- Na to samo wychodzi. - Wzruszył ramionami. - Nie ma jej i to się liczy. Wygrałaś.

- Chwileczkę! - Brooke nie pojmowała, dlaczego tak zależało mu na przyznaniu się do porażki. - Technicznie...

- Nawet ostrzegałaś mnie, że będzie chciała zabrać Molly ze sobą - przerwał jej. - To mnie zupełnie dobiło. Czy rzeczywiście jestem takim złym ojcem? - W jego spojrzeniu czaił się żal i rezygnacja.

- Skądże znowu - zaprzeczyła. - Uważam, że jesteś bardzo dobrym ojcem, a przynajmniej próbujesz nim być.

- Też mi pociecha - prychnął.

- Ujmijmy to w ten sposób. Jesteś na tyle dobrym ojcem, na ile pozwala ci Molly. Musisz przyznać, że jej jest równie ciężko, jak tobie. Nie jest jeszcze gotowa uznać cię za swego ojca, nazywa cię przecież Gart, ale to przyjdzie z czasem - tłumaczyła

- Naprawdę tak sadzisz? - ożywił się.

- Oczywiście, że tak - odparła łagodnie. - Potrzebuje czasu, żeby się zżyć z toba,

- Pewnie masz rację - przyznał wreszcie. - Przynajmniej w dużym stopniu.

- A co to niby miało znaczyć?

- Nie jestem pewien, czy podołam temu zadaniu. Wiesz, nie mam zbyt wiele doświadczenia w roli ojca.

Ogarnęło ją niejasne przeczucie, że zbliża się zagrożenie.

- Przecież nie zostaniesz sam - pospieszyła z odpowiedzią - Pani O'Hara na pewno chętnie ci pomoże.

W jego orzechowych oczach pojawiły się niebezpieczne iskierki.

- Niestety, pani O'Hara i tak już ma pełne ręce roboty, więc nie będzie w stanie poświęcić Molly zbyt wiele czasu - zauważył. - Ale Molly bardzo cię lubi...

- Co takiego? - przeraziła się Brooke. - Nie chcesz chyba... Ależ, Garrett, ja nie mam zielonego pojęcia na temat wychowania dzieci.

- Nie podobała ci się pani Sisk - przypomniał.

- Owszem, ale co to ma do rzeczy?

- Uważałaś, że Molly lepiej by na tym wyszła, gdyby uwolniła się spod jej władzy. Nie myślisz, że teraz, gdy to się wreszcie stało, powinnaś pomóc...

- No, nie - jęknęła, podnosząc ręce w geście rozpacz.

- Przecież nie proszę cię o zbyt wiele. Po prostu byłbym ci wdzięczny, gdybyś mogła każdego dnia spędzić trochę czasu z nami, to znaczy z Molly - poprawił się.

- Ale ja jestem zajęta, mam przecież koty - oponowała.

- Molly je uwielbia. Mogłaby ci pomagać - podsunął.

- Poza tym mamy tu dużo pracy... - Zawiesiła głos, przypomniała sobie bowiem o zamiarach Garretta.

- O co chodzi? - zaniepokoił się.

- Nie, nie, o nic - pospieszyła z odpowiedzią, - Słuchaj, nie zmieniłeś może zdania co do testamentu panny Cory? - zaryzykowała.

- Nie.

- Zastanów się jeszcze - prosiła. - Ona naprawdę chciała...

- Czego? Skąd możemy mieć pewność, czego tak naprawdę pragnęła? Nie sadzisz chyba, że chciała, bym na zawsze zamieszkał w tym mauzoleum. A jeżeli zależało jej na utworzeniu tu schroniska dla kotów, to czemu nie podała tego jako jedynego warunku? Brooke sama wielokrotnie się nad tym zastanawiała.

- Nie mam pojęcia. - Pokręciła bezradnie głową - Przyznaję, że była ekscentryczką ale wydaje mi się, że powinniśmy jednak spełnić jej wolę, bez względu na to, jak dziwna nam się może wydawać.

- Czy to jest twoja cena? - zapytał ni z tego, ni z owego.

- Moja cena? - powtórzyła zdumiona. - Za co znowu?

- Za pomoc w opiece nad moja córką oczywiście. Czy jeśli obiecuję, że jeszcze raz zastanowię się nad sprzedażą Glennhaven, będę mógł liczyć na ciebie?

Zupełnie nie wiedziała, jak powinna postąpić, by nie dać się wpędzić w pułapkę.

Owszem, przepadała za małą ale co do jej ojca...

Molly we własnej osobie wbiegła właśnie w podskokach do jadalni.

- Ułożyłam ciasteczka na talerzu i nalałam soku jabłkowego do szklanek - poinformowała.

Tuż za nią pojawiła się pani O'Hara, niosąc tacę z deserem.

- Wspaniale - pochwalił Garrett. - Teraz, kiedy jesteś już taką dużą dziewczynką możesz robić wiele rzeczy.

- Naprawdę? - zdziwiła się.

- Jasne. Na przykład możesz pomagać Brooke przy kotach- odpowiedział. - Chciałabyś?

Mała aż podskoczyła z radości.

- O tak! - zawołała. - Uwielbiam jej koty.

- Nieładnie tak, Garrett! - Brooke pogroziła mu palcem.

- Wykorzystujesz Molly, by postawić na swoim.

- A czy ty tego nie robiłaś? - odparował. - Hej, słoneczko, czy mógłbym dostać ciastko? - zwrócił się do córeczki.

Brooke pomyślała z goryczą, że kto jak kto, ale Garrett, jeśli tylko tego zapragnie, zawsze zdobędzie ciastko, bez względu na to, do kogo ono należy.

Tego popołudnia Garrett odwiózł panią Sisk na lotnisko w Denver. Gdy kilka godzin

później Brooke usłyszała lekkie kroki na korytarzu, przekonana była, że należy do

niego. Nie miała pojęcia, jak go rozpoznała, bo przecież od dwóch godzin po domu

kręcił się elektryk, a jakoś nawet przez myśl jej nie przeszło, że to może być Garrett.

Nie podobało jej się to, zwłaszcza że jej serce zabiło mocniej, gdy ujrzała go w drzwiach

biblioteki, ubranego w białe spodnie oraz także koszulkę polo. Wyglądał świeżo i

wyjątkowo pociągająco, tak że zaczęła żałować, że nie włożyła tym razem czegoś

bardziej kobiecego niż dzinsy i bawełniana koszulka.

- Cześć, Gart - zawołała Molly, która bawiła się nieopodal drzwi. - Pomagam Brooke.

- Właśnie widzę- roześmiał się, siadając obok niej na podłodze. - Odwiozłem panią Sisk na lotnisko - oznajmił.

Dziewczynka z poważnym wyrazem twarzy pokiwała główką

- Nie bardzo podobało jej się tu, w Kolorado - ciągnął.

- Wiem. Chciała wracać do domu.



- Nie sadiłem, że bardzo cię to zmartwi, ale dopiero teraz przyszło mi do głowy, że powinienem był cię zapytać, czy się zgadzasz.

Molly zmarszczyła czoło. Przez dłuższy czas w milczeniu wpatrywała się w niego.

- Mam nadzieję, że nie jest ci bardzo przykro, że wyjechała- dodał.

- Nie aż tak bardzo - westchnęła mała. - Ale pani Sisk bawiła się ze mną i czytała mi bajki. Kiedyś mnie kochała...

- Nadal cię kocha - zapewnił Garrett zdławionym głosem.

- Powiedziała mi to, zanim wsiadła do samolotu.

Słyszając to, Molly uśmiechnęła się radośnie.

- To dobrze, bo ja ją też Kocham. Czy ty będziesz się ze mną bawić, Brooke? - zapytała, zwracając ku niej swą śliczną twarzyczkę.

- Oczywiście, że tak - obiecała, walcząc z napływającymi do oczu łzami. Kto wie, może była zbyt krytyczna wobec pani Sisk?

- A czy mogą się bawić z twymi kotami?

- Pewnie. Choćby teraz, jeśli chcesz.

Nawet nie spojrzała na Garretta, by sprawdzić, czy się zgadza. Badź co badź, sam ją w to wciągnął.

- O, tak - ucieszyła się Molly. - Mogę, Gart?

- Jasne - zgodził się. - W takim razie biegnij do kuchni i powiedz pani O'Hara, dokąd idziemy. - Gdy mała wybiegła z biblioteki, zwrócił się do Brooke: - Ciągle jeszcze przeglądasz te papiery?

- Och, bo to wszystko jest takie interesujące - westchnęła.

- Wiem, nie powinnam marnować czasu na czytanie tego, ale spójrz, to są kopie jej kontraktów filmowych.

- Może jednak wróc do terażniejszości - zaproponował z zawadiackim uśmiechem na ustach. - Musimy omówić szczegóły jutrzejszego pikniku.

- Jakiego pikniku? - zdumiała się.

- Przecież jutro jest czwarty lipca, Święto Niepodległości - przypomniał.

- I co z tego? - Nadal nie rozumiała.

- Gotów jestem spłacić mój dług. - Mrugnął porozumiewawczo.

- O co ci chodzi? - Czuła, jak powoli na jej twarz wypływa rumieniec.

- Pani Sisk wyjechała, co oznacza, że wygrałaś zakład. Jestem ci winien piknik z okazji Świata Niepodległości, pamiętasz?

- Chwileczkę! - zaprotestowała. - Po pierwsze, to, czy wygrałam ten zakład, jest kwestią sporna, jednak nawet gdy uznamy, że tak, to, o ile pamiętam, umawialiśmy się, że jeśli przegram, zapraszam was na piknik, a jeśli wygram, masz mi dać spokój. Naturalnie w obecnej sytuacji to absolutnie niemożliwe, więc proponuję, żebyśmy w ogóle uznali ten zakład za niebyły.

- Daj spokój, wygrałaś, więc masz prawo odebrać nagrodę. Poza tym pani O'Hara już zaczęła przygotowania.

- Tak szybko? - Brooke z niedowierzaniem uniosła brwi.
- Przecież pani Sisk dopiero co wyjechała.
- A ileż czasu zajmuje przygotowanie pikniku? - roześmiał się. - Czy zastanawiałaś się już może, dokąd się wybierzemy?
- To ty urządzasz piknik - przypomniała.
- Owszem, ale to twoja okolica
- Dobrze - westchnęła zrezygnowana - Niedaleko stad jest kilka uroczych miejsc w sam raz na piknik. Możemy wziąć jedzenie do plecaka i przespacerować się.
- Doskonale - zgodził się.
- W takim razie spotkajmy się przed bramką o jedenastej.
- Będziemy punktualnie - zapewnił.
- Świetnie, wobec tego do zobaczenia jutro - powiedziała szybko, chcąc wreszcie pozbyć się jego towarzystwa.

Niestety, Garrett podążył za nią

- Nie zleciłaś mi żadnego zadania na dzisiejsze popołudnie, więc skoro nie mam nic do roboty, pójdę z tobą i Molly - oznajmił, uśmiechając się zuchwale.

Miała ochotę zaprotestować, ale nim zdążyła otworzyć usta, na schodach pojawiła się uradowana Molly.

Gdy znaleźli się w domku, dziewczynka od razu powędrowała do pomieszczenia dla kotów, by zapoznać się z wszystkimi jego mieszkańcami, którzy również wykazali duże zainteresowanie jej osobą

- To najprawdziwsza kocia mama - zauważyła Brooke.
- Rzeczywiście, aż trudno uwierzyć, że pochodzi z rodziny Jacksonów - przyznał, próbując zignorować Gable'a, który z głośnym pomrukiem ocierał się o jego nogi.
- Czyżby faktycznie wszyscy Jacksonowie byli wrogami kotów? - zainteresowała się, biorąc na ramię Jednookiego Dicka.
- Raczej tak. - Skinal głową - Szczerze mówiąc, to całkiem zabawna historia
- Zabawna?
- Może raczej dziwna, a zarazem trochę smutna. Otóż, kiedy Cora uciekła z narzeczoną Maude, zabrała też kota, który był ulubieńcem całej rodziny. Maude potraktowała to jako osobistą zniewagę i od tamtej pory w domu były już tylko psy.
- Ale przecież kot nic nie zawinił - oburzyła się Brooke.
- Mógłbyś chociaż spróbować się do nich przekonać.
- Tak jak ty do psów - skomentował, po czym podniósł bawiącego się w pobliżu małego kociaka. - A ten, jak się nazywa?
- Misty.

Garrett podrapał go delikatnie za uszkami.

- Widzisz, dla ciebie próbuję przewyciężyć wieloletnie uprzedzenia.
- Może w takim razie jest dla ciebie jeszcze jakaś nadzieja - przyznała ze śmiechem. - Być może niebawem zrozumiesz na czym polega wyższość kotów nad psami.

- Nie ma mowy! Pies to najlepszy przyjaciel człowieka.

- Czyżby? A czy wiesz, że dużo więcej ludzi hoduje teraz koty niż psy? Czytałam o tym niedawno w gazecie.

Garrett wyglądał na wstrząśniętego tą wiadomością

- Ale dlaczego? - zastanawiał się, stawiając kociaka z powrotem na podłodze. - Przecież psy są takie lojalne i wierne, przynoszą w zębach kaptcie, gryzą złodziei... a koty? One kpią sobie z właścicieli w żywe oczy.

- Jednak kota możesz zostawić samego na dzień lub dwa i nic się nie stanie, a pies przez ten czas zdemoluje ci dom- zauważyła.

- Za to pies z radością powita cię, kiedy wrócisz do domu, wspaniałomyślnie wybaczy ci krzywdy, pomacha ogonem, polize twoją dłoń, a nawet zje resztki z twego stołu - argumentował.

Brooke prychnęła pogardliwie.

- Jak możesz szanować zwierzę, które nie ma za grosz poczucia własnej wartości?

Obydwoje roześmiali się serdecznie.

- Jednak nadal nie tłumaczy to, dlaczego aż tak bardzo nie lubisz psów - zauważył Garrett, poważniejąc.

- Och, nie aż tak bardzo. - Machnęła lekceważąco ręką

- Nie? W takim razie, dlaczego aż kurczysz się w sobie, gdy do pokoju wchodzi Baron lub Lany?

Cheap zyskać nieco na czasie, odwróciła się i ostrożnie posadziła kota na parapecie.

- Jeśli mam być szczerą, to niespecjalnie lubią tym mówić.

- Byłaś kiedyś pogryziona?

- Owszem, dwa razy - przyznała niechętnie. - A blizny pozostaną mi do końca życia.

W spojrzeniu Garretta wyczytała szczere współczucie.

- Ale nie możesz za to winić wszystkich psów - tłumaczył łagodnie.

- Toteż nie winię. Posłuchaj, ja naprawdę nie mam ochoty o tym rozmawiać.

- Rozumiem, to nie czas ani miejsce - odparł, zerkając znacząco na bawiącą się w drugim pomieszczeniu Molly.

- Masz rację, ale nie o to mi chodziło. Nie zamierzam nigdy więcej wracać do tego tematu. - Przywołała na twarz uśmiech. - Nie napiłbyś się mrożonej herbaty? Molly na pewno ma ochotę na szklanekę soku.

- Wolałbym...

- Możesz wybierać między sokiem i herbatą - przerwała mu stanowczo, widząc podejrzaną błyski w jego orzechowych oczach.

- W takim razie poproszę o herbatę.

Gdy jakiś czas później siedzieli wraz z Molly w salonie, popijając chłodne napoje, usłyszeli stukanie do drzwi.

- Brooke, to ja - dobiegł ich głos doktora Johna Harveya, zaprzyjaźnionego weterynarza.

- Mam coś dla ciebie.

Na widok tego, co trzymał na ręku doktor John, Molly wpadła w euforię.

- Kotek! - wykrzyknęła radośnie, bezceremonialnie zsuwając z kolan Carole Lombard. - Czy mogę go potrzymać?

Weterynarz uśmiechnął się serdecznie, widząc jej rozpromienioną, twarzyczkę.

- A to kto? - zwrócił się do Brooke.

- Panie doktorze, przedstawiam panu moją nową sąsiadkę, Molly Jackson - zaprezentowała oficjalnie. - Molly, doktor John opiekuje się moimi kotami, gdy są chore.

- Bardzo mi miło - powiedziała grzecznie dziewczynka, nie odrywając wzroku od kociaka. - Czy już mogę? - Wyciągnęła ku niemu drżące z emocji rączki.

- Za moment - powstrzymała ją Brooke. - Pan doktor powinien jeszcze poznać twojego tatusia. Johnie, to jest Garrett Jackson.

- Nazywam się John Harvey - powiedział z uśmiechem doktor. - A więc to pan jest spadkobiercą panny Cory?

- Tak, to ja - odparł Garrett nieco oficjalnym tonem. - Czy ma pan w zwyczaju przywozić wszystkie niechciane zwierzęta do Glennhaven?

Brooke posłała mu pełne oburzenia spojrzenie, ale zupełnie się tym nie przejął.

- Tylko koty - wyjaśnił John. - Brooke, się nimi zajmuje, dopóki nie znajdę dla nich nowego domu.

- Czy ten kotek też jest sierotką? - wtraciła się Molly.

Weterynarz przykucnął przed nią, by ostrożnie podać jej przestraszone maleństwo.

- A skąd taka mała dziewczynka, jak ty, może wiedzieć, co to znaczy sierota? - zapytał pogodnym głosem.

- Bo nią jestem - odparła bez zażenowania, tuląc kotka. W oczach Brooke zalśniły łzy. Nie miała odwagi, by spojrzeć na Garretta, który słysząc słowa Molly, wciągnął głośno powietrze. Wiedziała, jak bardzo musi być mu przykro. John natomiast zerknął nań przelotnie, ale taktownie nie zapytał o nic.

- Brooke, czy mogłabyś znaleźć temu maluchowi dom? - poprosił. - Jeden z moich klientów zauważył go, jak kręcił się gdzieś w okolicach autostrady. To bardzo miły i zdrowy kotek.

- Oczywiście - zapewniła z uśmiechem. - Im więcej, tym weselej. Czy on ma już może imię?

Doktor pokręcił przecząco głową,

- Ma - oświadczyła w tym samym momencie Molly.

Brooke i John spojrzeli ze zdumieniem na dziewczynkę, której wzrok utkwiony był w Garrecie. Jego twarz pozbawiona była wszelkiego wyrazu.

- Nazywa się Książę - oznajmiła mała, a jej twarzyczka promieniowała szczęściem. - Czy on nie jest śliczny? Widzieliście? Ma futerko w fasolki. - Wskazała paluszką czarne łatki na białych bokach zwierzątka.

- Mówi się groszki, nie fasolki, kochanie - poprawiła Brooke, walcząc ze łzami wzruszenia - Księżę to naprawdę przepiękne imię.

- Chwileczkę! - wtrącił się Garrett, który do tej pory nie odezwał się ani słowem. - Molly, nie możesz zatrzymać tego kota

- Ale... ale... - wykrztusiła z trudem dziewczynka

- Chyba nie mówisz tego poważnie Garrett - oburzyła się Brooke, nie pojmując, jak może być tak okrutny.

- Bądź rozsądna. - Nerwowym gestem przeczesał włosy dłonią, - Przecież mamy dwa psy. Baron może nie miałby nic przeciwko temu, ale sama wiesz, jak Larry zachowuje się w obecności kota.

Rzeczywiście, nieraz miała okazję przekonać się o tym na własnej skórze.

- Czy wobec tego Księżę może być kotem Molly, a mieszkać u mnie? - podsunęła. Garrett nie wyglądał na przekonanego.

- Nie zapomniałaś przypadkiem o czymś? Na jesieni Molly i ja wracamy do Chicago i zapewniam cię, że nie ma mowy, byśmy zabrali kota ze sobą. Co wtedy?

- Może zastanowimy się nad tym, jak przyjdzie pora wyjazdu? - zaproponowała. Przez chwilę wahał się jeszcze, po czym westchnął zrezygnowany.

- Zgoda, ale jak już rzeczywiście przyjdzie co do czego, pamiętaj, że to był twój pomysł - zastrzegł.

- Będę o tym pamiętać - obiecała, po czym z radosnym uśmiechem zwróciła się do Molly: - Gratulacje! Zostałaś właśnie dumną właścicielką ślicznego kotka. Będzie jednak musiał tu mieszkać, żeby psy nie zrobiły mu krzywdy.

Dziewczynka pokiwała główką

- A czy ja też mogę tu mieszkać? Mogę spać z Księżem? I karmić go? Mogę? - dopytywała się.

- Nie martw się, i tak będziesz się z nim często widywać - przerwał jej Garrett. Tymczasem John z zadowoloną miną ruszył ku wyjściu.

- Widzę, że spełniłem już dziś dobry uczynek i z czystym sumieniem mogę wracać do domu - roześmiał się.

- Do domu, do żony i dzieci? - zapytał nieco oschle Garrett.

- Niestety, nie - westchnął weterynarz. - Do domu, do zamrożonego obiadu i fachowych czasopism. - Ujął rękę Brooke. - Dziękuję kochanie. Przynajmniej o jedno zwierzę nie muszę się już martwić.

Odprowadziła go do samych drzwi, choć myślami była przy innym mężczyźnie, który tak bezceremonialnie przypomniał jej, iż niedługo zniknie z jej życia...

Poranek czwartego lipca był słoneczny oraz gorący i choć Brooke zdawała sobie sprawę z czekających ją prędzej czy później kłopotów, cieszyła się na myśl, iż ten tak dobrze zapowiadający się dzień spędzi wraz z Garrettem i Molly. Uwielbiała tę rezolutną, mądrą dziewczynkę, a co do jej ojca... Cóż, jego również łatwo przyszyłoby jej uwielbiać. Dlatego musiała cały czas mieć w pamięci cel, z jakim przyjechał on do Kolorado. Choć

czasem nie wiedziała, o co mu tak naprawdę chodzi: o jej dom, czy może o nią samą? A może próbował posłużyć się nią by zdobyć jej część spadku? W każdym razie nie mogła mu na to pozwolić!

Rzecz jasna, gdy stanął w drzwiach, zapomniała o swych uprzedzeniach. Pochwaliła go także w myśli za odpowiednie przygotowanie do leśnej wędrówki. Zarówno Garrett, jak i Molly, pomimo panującego upału, ubrani byli w długie spodnie i przewiewne bawełniane koszulki, zaś na nogach mieli traperki. Garrett trzymał także dwa plecaki, jak się domyślała, z jedzeniem. Gdy Molly pobiegła przywitać się z kotami, Brooke uśmiechnęła się do niego wesoło.

- Który plecak jest mój? - zapytała.

- Weź ten, jest lżejszy - zaproponował, po czym pomógł jej założyć go na plecy.

Gdy ponownie stanęli twarzą w twarz, zauważyła, iż w jego spojrzeniu czai się nieme pytanie. Nie wiedzieć czemu pewna była, że nie dotyczy ono plecaka, ale czegoś dużo bardziej poważnego. Odchrząknęła, gdyż nagle odniosła wrażenie, iż coś utkwilo jej w gardle. Chciała odwrócić od niego wzrok, lecz nie mogła, jak gdyby coś ją do niego przyciągało. Trwało to jakąś chwilę, aż wreszcie Garrett wyciągnął ku niej ramiona. Cofnęła się szybko. Coraz trudniej było jej oprzeć mu się, choć wiedziała doskonale, że za miesiąc lub dwa on wyjedzie do Chicago, gdzie czeka na niego Dee-Dee, Caroline i Bóg wie kto jeszcze.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Niepowtarzalna atmosfera Gór Skalistych nieodmiennie fascynowała Brooke, która już po pięciu minutach marszu wciągnęła głęboko powietrze w płuca, myśląc, że ten dzień ma jednak szansę stać się jednym z najwspanialszych wspomnień tego lata. Wypełniło ją, radosne oczekiwanie, choć nie miała pojęcia, co takiego może się wydarzyć.

Zerknęła na idącego obok Garretta, który, o dziwo, również wyglądał na oczarowanego urodą tego miejsca. Raźnie krocząc przez pachnącą łąkę, wpatrzony był w horyzont, zza którego wylaniał się gęsty las iglasty. Także i Molly, początkowo niepokieszona, że musi się rozstać na cały dzień z kotami, szybko poczuła zew przygody i podczas gdy obydwójce dorośli szli wydeptaną ścieżką, ona hasała dookoła nich jak uradowany psiak.

Widząc to, Brooke nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Jak tak dalej pójdzie, Molly zamieni się w kozicę górską jeśli jej nie będziesz dobrze pilnował - ostrzegła żartobliwie.

- Tylko tego by brakowało - jęknął Garrett, po czym oboje wesoło się roześmiali.

Po niespełna dwóch godzinach marszu dotarli do dużego, płaskiego kamienia, który wystawał poziomo ze zbocza wzgórza przez co idealnie nadawał się na stół. Brooke rozłożyła na nim zapakowaną przez panią O'Hara ceratę, na niej zaś ustawiła plastikowe talerzyki z porcjami pieczonego kurczaka, słoik marynowanych grzybów,

świeżutkie drożdżowe bułeczki domowej roboty, butelką dobrego wina oraz lemoniadą dla Molly.

Zajadali posiłek w milczeniu, podziwiając przy tym zapierający dech w piersiach widok, jaki roztaczał się przed nimi. W oddali widać było rzeczkę, której brzegi porośnięte były gęstym, ciemnym lasem, gdzieniegdzie poprzecinanym pasmami soczystozielonej łąki.

Gdy skończyli jeść, Molly odeszła od ich prowizorycznego stołu, aby przyjrzeć się z bliska różnobarwnej kępie goździków górskich. Nagle dał się słyszeć przeszywający gwizd. Dziewczynka wydała głośny okrzyk przerażenia, po czym zza kępy kwiatów wybiegło jakieś nieduże stworzenie i szybko zniknęło w gęstwinie wysokiej trawy.

- Co to było? - zaniepokoił się Garrett, gotów pędzić na pomoc Molly.

- Wiewiórka! - zawołała dziewczynka.

- Raczej świstak - poprawiła Brooke. - Nie martw się, Garrett, już dawno uciekł. Był jeszcze bardziej przerażony niż Molly.

- Chyba rzeczywiście - przyznał uspokojony. - Widzę, że wiesz sporo o faunie i florze tego terenu - zauważył.

- Wydaje ci się. - Uśmiechnęła się lekko. - Nauczyłam się trochę przez te lata, ale na pewno nie jestem ekspertem.

- Od jak dawna tu mieszkasz?

- Z panną Corą? Cztery lata.

- A przedtem? - Ułożył się wygodnie na boku, podpierając głowę dłonią, Brooke z trudem mogła oderwać spojrzenie od jego smukłych, odzianych w dżinsy nóg.

- Wychowałam się tu - odparła po chwili.

Pytanie to było raczej osobiste, a ona nigdy nie lubiła opowiadać o sobie. Tym bardziej nie miała ochoty zwierzać się jemu, gdyż przyzwyczajony był do zupełnie innego życia - wystawnego i bogatego. Co mogło go więc zainteresować w historii skromnego dzieciństwa, jakie wiodła?

- Czy twoja rodzina mieszkała tutaj? - nie dawał za wygraną, skinęła w odpowiedzi głową,

Garrett przekręcił się na brzuch, tak że teraz jego policzek niemal dotykał jej uda.

- Czy muszą wyciągać z ciebie słowo po słowie? - westchnął. - Oczywiście mogę tak zrobić, ale gdybyś sama mi coś opowiedziała, zaoszczędziłoby nam to mnóstwo czasu.

- To zależy, co chciałbyś wiedzieć.

- Najlepiej wszystko. - Uśmiechnął się zawadiacko.

- Szczerze mówiąc, moje życie nie było specjalnie interesujące. Urodziłam się w Denver, ale gdy byłam mała, moi rodzice przeprowadzili się do Boulder. Ojciec był właścicielem niewielkiej stacji benzynowej, a matka kelnerką

- Nie żartuj! Poważnie? - ożywił się.

Nic dziwnego, że jest taki zdumiony, pomyślała. Pewnie nikt z jego otoczenia nie miał matki kelnerki.

- A co się dzieje z twoją siostrą? - dopytywał się.

- Wyszła za męża, ma jedno dziecko, mieszkają w Omaha. Kilka lat temu, po przejściu na emeryturę, moi rodzice przenieśli się na Florydę i tak zostałam sama - dokończyła z krzywym uśmiechem.

- Tęsknisz za nimi? - Utkwił w niej swe przenikliwe spojrzenie. - Czy to dlatego tak się zżyłaś z moją cioteczną babką?

- Już od pierwszej chwili, kiedy spotkałam ją w gabinecie doktora Harveya, poczułam, że to ktoś wyjątkowy - wyjaśniła, uśmiechając się lekko na to wspomnienie.

- Pracowałaś tam? - domyślił się.

- Tak. Kiedyś bardzo chciałam zostać weterynarzem, ale nie wyszło, więc przynajmniej pomagałam mu w gabinecie. Zawsze bardzo lubiłam zwierzęta, z wyjątkiem...

- Z wyjątkiem psów? - dokończył za nią

- Właśnie - potwierdziła, przygryzając wargę. - Na szczęście John zajmował się jedynie kotami, więc nie stanowiło to najmniejszego problemu.

Roześmiał się, a w jego pięknych, orzechowych oczach zapaliły się ciepłe ogniki, co Brooke miała okazję obserwować z bliska, bardzo bliska...

- Czy twoja rodzina była bardzo ze sobą zżyta?

- Niespecjalnie. Panna Cora i ja bardzo siebie nawzajem potrzebowaliśmy, stałyśmy się dla siebie najbliższą rodziną - Podniosła na niego ostrożne spojrzenie. - Nie gniewasz się, że tak mówią?

- A czemu niby miałbym się gniewać?

- Pomyślałam, że prawdziwa rodzina panny Cory może mnie nie lubić, uważać, że jestem jakas łowczynią spadków. No wiesz, że zmusiłam ją by zostawiła mi coś, do czego nie miałam najmniejszego prawa...

- Rzeczywiście, pojawił się taki argument - przyznał ostrożnie.

- A jednak. Czy ty też uważałaś, że byłabym zdolna do czegoś takiego? - zaniepokoiła się.

- Owszem, ale teraz nie wydaje mi się to prawdopodobne. Zabolalo ją że nie powiedział, iż byłoby to całkowicie niemożliwe. Usiadła prosto, dumnie unosząc głowę.

- Znasz mnie już chyba na tyle, by... - zaczęła.

- Nie znam cię -przerwał jej.

- Chciałam powiedzieć...

- Wiem, co chciałaś powiedzieć, ale ja ciebie nie znam. - On także usiadł, tak że teraz ich kolana stykały się. - Ale to, co o tobie wiem, jest intrygujące.

- Intrygujące? - powtórzyła, nie mogąc uwierzyć własnym uszom. Nigdy by jej nie przyszło do głowy, że ktoś może nazwać ją intrygującą

Garrett bez słowa ujął ją za ramiona, zagladając jej głęboko w oczy.

- Chciałbym bliżej cię poznać - oznajmił po dłuższej chwili milczenia. - Dużo bliżej...

- Nie wiem... to jest... nie sadzę... - bąkała, nie mogąc zebrać myśli, jak zwykle, gdy czuła na sobie jego spojrzenie.



- Brooke, przecież oboje jesteśmy dorośli - przypomniał z czarującym uśmiechem. Pochylił się ku niej, ale tym razem nie zamierzała się odsunąć. Wiedziała, że chce ją pocałować i choć zdawała sobie sprawę iż powinna zaprotestować, nie miała na to siły, ponieważ odkryła, że właśnie tego pragnęła, odkąd wyruszyli na piknik.

W tym momencie dało się słyszeć głośne wołanie Molly.

- Gart, popatrz, jaki wielki ptak!

Obydwoje powędrowali wzrokiem za małą rączką wyciągniętą w stronę nieba, na którym powoli kołował jastrząb. Brooke zaniepokoiła się ciemnymi chmurami, jakie pojawiły się na horyzoncie. Wiedziała z doświadczenia, że pogoda w Górach Skalistych potrafi zmieniać się w mgnieniu oka, dlatego też wstała szybko i sięgnęła po plecak.

- Musimy wracać. Zaraz będzie burza - ostrzegła.

- Chyba żartujesz - roześmiał się Garrett, ale on również podniósł się i spojrzał w niebo.

- Ani trochę - odparła, pakując ich rzeczy. - Musimy się natychmiast zbierać.

Ostatnie pięćdziesiąt metrów przebiegli w ulewnym deszczu, na szczęście jeszcze nie grzmiało. Garrett otworzył szeroko bramę.

- Biegnij, kochanie, do domu - zwrócił się do Molly. - Zaraz za toba, przyjdziemy.

Dziewczynka pomachała im rączką, po czym puściła się pędem ku domowi. Biedactwo, była przemoknięta do suchej nitki.

Brooke odgarnęła z twarzy mokre kosmyki. Było jej niesłychanie wesoło, nie wiedziała, czy to od tego szaleńczego biegu, czy może z powodu towarzystwa niezwykle czarującego mężczyzny...

- Pójdę do siebie przebrać się w coś suchego - odezwała się. - Dziękuję za uroczy...

- Nie tak prędko - przerwał jej, podchodząc bliżej. Zanim zdążyła się obejrzeć, już była w jego ramionach.

- Hej, co ty wyprawiasz? - zaprotestowała, co, szczerze mówiąc, nie wypadło zbyt przekonywająco i dlatego zapewne nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia.

- A jak ci się wydaje? - mruknął tuż przy jej ustach. Nawet się nie broniła, tylko zarzuciła mu na szyję ramiona i poddała się temu tak wyczekivanemu pocałunkowi, któremu niezwykłości dodawał padający coraz silniej deszcz.

- Brooke - wyszeptał Garrett wprost do jej ucha. - Już od dawna tego pragnęłam.

- Ale Molly... - przypomniała.

- Molly tu nie ma - przerwał jej z uwodzicielskim uśmiechem. - Może odprowadzę cię do domu... i wstąpię na... - Obsypał jej szyję mnóstwem delikatnych pocałunków.

- Na kawę? - podsunęła.

- Właśnie - zgodził się. - Między innymi... - Jego dłoń sugestywnie błędziła po jej biodrze.

Nie mogła uwierzyć, że to się naprawdę dzieje, że stoi w deszczu, trzymana w ramionach przez najprzystojniejszego mężczyznę, jakiego w życiu spotkała. Jeszcze nigdy nie znalazła się w podobnej sytuacji, a w dodatku to, co teraz robiła, było niezgodne z jej zasadami...

- To jak? - ponaglił ją, - Zaprosisz mnie do siebie?

- Nie powinnam... - wykrztusiła.

- Ale pragniesz tego, dlaczego więc nie chcesz choć raz pójść za głosem serca? - przekonywał.

Ponownie pochylił się, by pocałować ją namiętnie. Dokładnie w chwili, gdy ich usta spotkały się, rozległo się pierwsze uderzenie pioruna.

Garrett podniósł głowę.

- Czy to był grzmot, czy może moje serce tak zabiło? - zażartował. - Daj spokój, Brooke, schowajmy się u ciebie przed burzą,

- Nie jestem pewna czy... - urwała.

Chyba jeszcze niczego w życiu nie pragnęła tak bardzo, jak znaleźć się z nim w zacisznej sypialni, ale obawa przed dalszymi komplikacjami była w niej wciąż silna.

- Dobrze - zgodziła się wreszcie. - Chodźmy, zanim...

- Panie Jackson? - dał się słyszeć donośny głos pani O'Hara. - Panie Jackson, jest pan tam?

Kucharka stała w drzwiach kuchennych, próbując dojrzeć ich poprzez ścianę deszczu.

- Do diabła! - mruknął pod nosem Garrett. - Tu jestem. Odprowadzałem właśnie Brooke do domu. O co chodzi?

- Telefon do pana - poinformowała pani O'Hara.

- Niech pani zapisze, kto dzwoni i po co - odparł, ujmując Brooke pod rękę.

- Ale ten pan mówi, że to ważne!

- Niech to...! - Garrett był coraz bardziej zirytowany. - A kto w ogóle dzwoni?

- Ktoś z agencji nieruchomości. Mówi, że znalazł kupca i chce się umówić na spotkanie...

Słyszając to, Brooke niecierpliwie wyszarpnęła swe ramię.

- Kupca? - powtórzyła, nie kryjąc się z oburzenia. - A ja myślałam...

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków - poprosił, próbując ponownie wziąć ją pod rękę, ale odskoczyła jak oparzona. - To tylko wstępne rozeznanie, nie musisz sobie zawracać tym głowy.

W jej oczach pojawił się błysk zrozumienia.

- A więc o to ci chodziło... Chciałeś pójść ze mną do łóżka, żeby mnie udobruchać.

Myślałeś, że wtedy pozbędę się wszelkich obiekcji?

- Nic z tych rzeczy. Słuchaj, chodźmy teraz do ciebie, osuszmy się trochę i porozmawiajmy o tym spokojnie - zaproponował. - Źle mnie zrozumiałaś...

Rozległo się następne uderzenie pioruna.

- Nie mam ci nic więcej do powiedzenia - zawołała, próbując powstrzymać napływające do oczu łzy. - Do widzenia.

Zrzuciwszy plecak na ziemię, puściła się pędem w kierunku swego domku.

Garrett ze smutkiem patrzył za nią, aż zniknęła za drzwiami swego domu. A już myślał, że uda mu się przebić tę skorupę, w której się zamykała. Była chyba jedyną

naprawdę naturalną osobą jaką, kiedykolwiek poznał. Niczego nie udawała, nie bawiła się pozorami, zaś jej spojrzenie było czyste i szczere.

- Panie Jackson! - przerwała jego rozmyślania kucharka.

- Dostanie pan zapalenia płuc, jeśli będzie pan tak stał na deszczu. Proszę tu przyjść i porozmawiać z tym panem, a ja tymczasem przygotuję filiżankę gorącej herbaty i jakieś suche ubranie. Proszę tu przyjść, słyszy pan?

Gdy deszcz już przestał padać, a na błękitnym niebie pojawiło się słońce, do drzwi domku zapukała Katy.

- Witajcie w Kolorado, gdzie w ciągu jednego dnia możecie przeżyć wszystkie cztery pory roku - zażartowała.

- Wejdz, napijemy się herbaty, właśnie zaparzyłam cały dzbanek - zaprosiła ją, ubrana w szlafrok Brooke. - Przydałoby mi się towarzystwo.

- Siedziałaś sama przez cały dzień? Myślałam, że wybierasz się na piknik z tym przystojniakiem. - Pochyliwszy się, wzięła na ręce Carole Lombard i powędrowała za przyjaciółką, do kuchni. - A, pewnie złapał was deszcz. Ulewa zepsuła też uroczystości w Boulder.

- Zaczęło padać, kiedy byliśmy już w drodze powrotnej - odparła Brooke, nalewając herbatę do filiżanek. - Co, oczywiście, nie znaczy, że nie zdążyliśmy zmoknąć.

- Z twojej miny widzę, że wydarzyło się coś jeszcze. - Katy posłała przyjaciółce poważne spojrzenie.

- Nie wygłupiaj się - mruknęła Brooke, podając jej filiżankę.

- Czyżby Garrett Jackson czynił ci jakieś awanse? - Katy nie dawała za wygraną,

- Nie wygłupiaj się - powtórzyła Brooke.

- Odpowiedz na moje pytanie.

- No dobrze. Odpowiedź brzmi: tak.

- Tak myślałam. - Katy utkwiała w niej zamyślane spojrzenie. - To dobrze! - powiedziała po chwili.

- Jaka z ciebie przyjaciółka?! - obruszyła się Brooke. - Jesteś z tego zadowolona?

- Nie denerwuj się- roześmiała się Katy. - W twoim sercu nie działo się nic, odkąd rok temu ten kolarz odjechał w słońce, dal. Zastanów się, Brooke, letni romans dobrze by ci zrobił.

- On też tak uważa - westchnęła z rezygnacją,

- A co ty o tym sadzisz? - zapytała poważnie Katy. - Ale tak naprawdę.

- Uważam, że... - zaczęła, ale urwała, nie bardzo wiedząc, jaką dać odpowiedź. - Wiem tyle, że pod koniec lata sprzeda Glennhaven i wróci do Chicago, tak że nigdy więcej go nie zobaczę. Dlatego uważam, że letni romans jest ostatnią, rzeczą, jakiej potrzebuję, a zwłaszcza romans z kimś takim, jak Garrett.

Intuicja podpowiadała jej, że po tym, jak poznała kogoś takiego, jak on, nie będzie miała ochoty na romans z kimkolwiek innym...

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Brooke nie zdołała zmrużyć oka przez całą noc, dręczyła ją bowiem myśl o tym, że następnego ranka zmuszona będzie udać się do jaskini lwa. Nie miała pojęcia, co powinna mu powiedzieć, ale wiedziała, że jakoś należy uzdrowić sytuację, która ostatnio stała się nie do wytrzymania. Przede wszystkim powinna dać mu jasno do zrozumienia, że nie interesuje jej przelotny romans, ale długotrwały związek, oparty na prawdziwej miłości. Jako że Garrett Jackson nie wyglądał na mężczyznę o podobnych zapatrywaniach, należało jasno ustalić zasady gry.

Gdy wreszcie następnego dnia stanęła z nim twarzą w twarz, była spięta i zdenerwowana, a odwaga, która, zbierała w sobie przez całą noc, w jednej chwili ją opuściła.

- Garrett, musimy ustalić kilka rzeczy - oznajmiła stanowczo, choć czuła, że jeszcze moment, a nogi odmówią jej posłuszeństwa.
- To znaczy? - Uniósł lekko brwi.
- Chodzi o to, że skoro mamy mieszkać razem do końca lata... - zaczęła.
- A mamy mieszkać razem? - Jego ciemne brwi powędrowały jeszcze wyżej.
- Oj, wiesz, o co mi chodzi - zniecierpliwiła się. - Mieszkamy po sąsiedzku i mamy wiele zadań do wykonania.
- To znaczy? - powtórzył.
- Na przykład... - Machnęła bezradnie ręką, - Panna Cora zobowiązała mnie, bym pomogła uporządkować jej rzeczy.
- Owszem. - Skinal głową - Co jeszcze?
- Cóż, obiecałam ci pomóc w opiece nad Molly. Oczywiście nie pogniewam się, jeśli zechcesz wynająć profesjonalną opiekunkę. ..
- Nie ma mowy! Molly po raz pierwszy wydaje się być szczęśliwa, odkąd... - zawiesił głos. - Od chwili śmierci jej rodziców - dokończył. - Słuchaj, Brooke, mam niejasne wrażenie, że tak naprawdę chodzi ci o coś zupełnie innego. Czy możesz pominąć wstęp i powiedzieć mi to wprost?
- Zgoda - westchnęła ciężko. - Widzisz, mnie nie interesuje letni romans, więc byłabym ci wdzięczna, gdybyś przestał... no wiesz... przestał... - urwała zarumieniona.
- Co przestał? - dopytywał się z zawadiackim uśmiechem na ustach. - Całować cię?
- Na przykład.
- Przestał cię obejmować?
- To też - wybakąła.
- Przestał próbować zwabić cię do mego łóżka? - przekomarzał się.
- To szczególnie - roześmiała się z zażenowaniem.
- Nie podobam ci się? - zapytał, podnosząc się z fotela.
- Nie o to chodzi...
- Nie? - Wyszedł zza biurka. - A może jednak wydają ci się odpychający?
- Oczywiście, że nie - odparła szczerze. - Wręcz przeciwnie.

Stał teraz naprzeciw niej, a w jego oczach igrały niebezpieczne ogniki.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - nie dawał za wygraną

- Że jestem atrakcyjny? Pociągający?

- Nie... to znaczy, tak - wybakała nieskładnie. - Garrett, wprawiasz mnie w zakłopotanie.

- Skądże znowu. - Zbliżył się o krok. - Nie zrobiłbym niczego wbrew tobie.

- Tylko tak mówisz, a zachowujesz się odwrotnie - wypaliła po chwili, gdy dotarło do niej, iż nie miał na myśli wprawiania jej w zakłopotanie.

- Nieprawda. - Uśmiechnął się ujmująco. - Wiesz dobrze, że wziąjby cię w ramiona tylko wtedy, gdybyś sama tego chciała.

- To nigdy nie nastąpi, więc możemy skończyć tę dyskusję- ucięła ostro.

Garrett już otwierał usta, aby coś na to odpowiedzieć, gdy do biblioteki wbiegła Molly, a za nią Larry.

- Popatrzcie! - zawołała. - Larry pokaże wam sztuczkę. Chwilą później coś małego i jaskrawego przeleciało przez pokój, prosto w kierunku Brooke, a za tym przedmiotem ruszył Larry, ujadając wściekle. Zaskoczona i przerażona Brooke niewiele myśląc, rzuciła się wprost w objęcia Garretta.

- Larry! - zawołał ten rozkazującym tonem. - Uciekaj stad! Pies posłuchał go, ale zanim odszedł, wziął w zęby pomarańczową gumową piłeczkę, która leżała u stóp Brooke. Zasmucona, a raczej lekko zażenowana Molly podążyła za swym podopiecznym. Tymczasem Brooke, która czuła się równie zażenowana, tyle że z innego powodu, zręcznie wyśliznęła się z ramion Garretta.

- Muszę się wreszcie wziąć do pracy - oznajmiła, unikając jego spojrzenia. - Czeka nas jeszcze sporo...

- Czemu tak się boisz psów? - przerwał jej bezceremonialnie. - Dosłownie rzuciłaś się w moje ramiona, zupełnie jakbyś myślała, że Lany cię zaraz pożre.

- Powinieneś się cieszyć, zrobiłam to z własnej, nieprzymuszonej woli. - Uśmiechnęła się blado.

- Dajmy spokój żartom. Byłaś przerażona, chcę wiedzieć dlaczego.

- Nieważne. - Machnęła lekceważąco ręką, - To stara historia.

- Może i tak, ale wciąż nie daje ci spokoju - zauważył. Nie miała ochoty rozmawiać na ten temat, ale widząc wyraz determinacji na jego twarzy, stwierdziła, że tym razem już chyba nie uda jej się skierować jego uwagi na inne tory.

- Miałam wtedy osiem lat - zaczęła niepewnym głosem. - Biegłyśmy z siostrą, chodnikiem, gdy... gdy ogromny pies przeskoczył przez ogrodzenie i rzucił się na mnie... - Jej głos załamał się.

- Spokojnie - wyszeptał Garrett, gładząc ją delikatnie po policzku.

- Spędziłam kilka dni w szpitalu - ciągnęła. - Do dziś zostały mi blizny.

- Oprócz tego pozostała blizna, której nie widać - zauważył ze współczuciem. - Ale wydawało mi się, że wspomniałaś kiedyś, że byłaś pogryziona dwa razy.

- Owszem. - Skinęła głową próbując się uśmiechnąć. - Mniej więcej pół roku później, ale to było zaledwie draśnięcie. Teraz już rozumiesz, dlaczego tak się boję psów. Nic nie mogą na to poradzić.

- A właśnie, że możesz - odparł. - Nie musisz od razu się z nimi przyjaźnić, ale to nie znaczy, że masz żyć w ciągłym strachu. Z psami jest jak z ludźmi, wśród nich też znajdzie się garstka drani, lecz większość jest naprawdę w porządku. Musisz im po prostu dać szansę. Popatrz, na przykład, na Barona...

- Co to, to nie - odparowała. - Nie chcę mieć do czynienia ani z nim, ani z tym drugim. A przy okazji, Gable nie może mi darować, że go ze sobą nie zabieram, gdy idę tutaj. Czy mógłbyś, przynajmniej od czasu do czasu, zamykać gdzieś psy, tak bym mogła go tu przyprowadzić? Byłabym ci naprawdę wdzięczna

Garrett przez moment namyślał się, po czym skinął głową

- Ale robią to dla ciebie, nie dla tego przeklętego kota - zaznaczył stanowczo.

- Nieważne, i tak jestem ci wdzięczna. Chyba już najwyższa pora, żebym się wzięła do pracy - przypomniała.

- Wyprowadzę Barona do ogrodu i zaraz do ciebie dołączę - odrzekł.

Przez chwilę jeszcze stał na środku biblioteki, wpatrzony w drzwi, za którymi zniknęła wciąż jeszcze wyraźnie podenerwowana Brooke. Nie trzeba było być mędrcom, by zauważyć, iż robił na niej wrażenie. Wystarczyłby jeden gest, aby ponownie znalazła się w jego ramionach. Tylko że Brooke różniła się zasadniczo od wszystkich kobiet, z którymi się dotąd spotykał. Była wyjątkowa i zdecydowanie zasługiwała na coś więcej niż przelotny romans, co z kolei było jedyną rzeczą jaką mógł jej zaoferować. Dlatego musiał uważać na to, co mówił, co robił, tak by jej nie zranić. Westchnął ciężko. Brooke bowiem nie była jedyną, osobą której dobro leżało mu na sercu. Druga, była pewna mała dziewczynka, która wciąż nie mogła się przełamać, aby nazwać go ojcem... Miał lipiec, który, przynajmniej dla Brooke, był miesiącem wytężonej pracy oraz wewnętrznych rozterek. Przede wszystkim pragnęła jak najprędzej zakończyć porządkowanie pamiątek po panie Córze, tak by móc zająć się kotami. Zdawała sobie jednak sprawę, iż nawet gdy wreszcie to nastąpi, zmuszona będzie utrzymywać kontakty z Jacksonami, chociażby dlatego, że obiecała Garrettowi pomoc w opiece nad Molly. Zauważyła, że im więcej czasu spędzała w towarzystwie dziewczynki, tym bardziej się do niej przywiązywała i tym silniej pragnęła dopomóc małej ostatecznie pogodzić się ze śmiercią, rodziców.

Co do Garretta, to na szczęście jak do tej pory dotrzymywał słowa i nie narzucał jej się w żaden sposób. Niemniej patrzył na nią tak łakomie, jak gdyby była pysznym lodem na patyku, dlatego ciągle miała wrażenie, że wystarczyłby jeden gest z jej strony i... Wolą nie myśleć, co by się dalej działo. Mimo to przekonywała samą siebie, że wszystko jest w najlepszym porządku...

- Brooke Hamilton! - Donośny głos Garretta przeszył ściany garderoby, w której Molly i Brooke zajmowały się sortowaniem chusteczek i apaszek, wyjętych z przepełnionej szuflady. - Brooke! Chodź tu natychmiast! - zawołał ponownie.

Molly podniosła na nią zaniepokojone spojrzenie.

- Oho - szepnęła. - Lepiej chodźmy, Gart jest naprawdę wściekły.

- Pójdę sama, ty zostań tutaj - zarządziła Brooke, która nie miała pojęcia, o co może chodzić, ale wolała, by dziewczynka nie była świadkiem kłótni, na którą, się niechybnie zanosilo.

Mała jednak najwyraźniej nie zamierzała się dostosować do jej prośby, gdyż poderwawszy się z podłogi, wybiegła na korytarz, a stamtąd do sypialni Garretta. Chcac, nie chcac, Brooke powędrowała za nią. To, co tam ujrzała, odebrało jej mowę. Otóż Gable siedział wygodnie na środku łóżka i jak gdyby nigdy nic mył sobie łapki, wokół niego zaś leżały resztki męskiego kaszmirowego swetra...

Brooke przeniosła swe przerażone spojrzenie na Garretta, którego mina mówiła, że gotów jest udusić winowajcę. Strwożona, wciągnęła głęboko powietrze i czekała na dalszy rozwój wypadków.

Niespodziewanie Molly zaczęła chichotać, co bezskutecznie próbowała zatuszować, przykładając rączkę do ust. Garrett odwrócił się ku niej z groźnym wyrazem twarzy, który szybko ustąpił miejsca zdumieniu.

- Gart, pamiętasz, jak opowiadałeś mi historyjkę o kocie, który połknął kanarka? - odezwała się dziewczynka.

- Pamiętam, ale, co to ma do rzeczy? - nie rozumiał. Molly śmiała się coraz głośniej.

- Bo Gable ma minę kota, który właśnie połknął sweter - wyjaśniła. - Popatrz, jeszcze mu nitki wystają, spomiędzy zębów!

Faktycznie, z pyszczka kocura zwisały kawałki włóczki, dając przekomiczny efekt. Garrett spojrzał na Gable'a, uśmiechnął się lekko, potem coraz szerzej, aż wreszcie wybuchnął głośnym śmiechem. Wciąż zaśmiewając się, siadł na brzegu łóżka i wyciągnął ręce ku Molly. Dziewczynka bez wahania podbiegła do niego, by wpaść w jego objęcia. Widząc to, Brooke dyskretnie wymknęła się z pokoju, ponieważ czuła, iż jest tu w tej chwili całkowicie zbędna. Postanowiła, że później przeprosi Garretta za ten incydent i zaproponuje jakieś zadośćuczynienie.

Gdy wkrótce podjęła ten temat w rozmowie, Garrett tylko wzruszył ramionami.

- Dzięki temu Molly wreszcie pozwoliła mi się przytulić, a to warte było choćby i dziesięciu takich swetrów. Skłonny jestem nawet spojrzeć trochę łaskawszym okiem na tego kocura.

Natomiast Brooke spojrzała łaskawszym okiem na Garretta, bowiem doszła do wniosku, że mężczyzna, któremu aż w takim stopniu leży na sercu dobro dziecka, nie może być w sumie taki zły.

- Pozwól mi chociaż jakoś naprawić szkody - nalegała. - Zrobię, co tylko zechcesz.

- Co tylko zechcę? - powtórzył z łobuzerskim uśmieszkiem.

- Wszystko, oprócz tego, co masz właśnie na myśli - roześmiała się. - Nie zamierzam podać ci śniadania do łóżka!

- Traktujesz mnie gorzej niż swoje koty - poskarżył się.

- O, przepraszam, moje koty nigdy nie próbowały mnie wykorzystać do swych celów - odparowała.

- Akurat - prychnaj. - Dobrze, dobrze, rozumiem, nie będzie śniadania w łóżku. Może w takim razie przyjdiesz dziś wieczorem popływać razem z nami? Przygotuję jakąś lekka, kolację.

- Nie ma mowy. - Pokręciła energicznie głową

- Ale...

- To ja przegrałam zakład, a nie ty - przypomniała. - Jestem gotowa spłacić swój dług, rzecz jasna w granicach rozsądku. Zapraszam ciebie i Molly do siebie na kolację, dziś wieczorem, dobrze?

- W takim razie jesteśmy umówieni.

Zanim zdążyła się zorientować, już była w jego ramionach, a on całował ją z taką namiętą tęsknotą i pragnieniem, jak nigdy dotąd. Nie potrafiła się oprzeć słodczy tego pocałunku, toteż zarzuciła mu ręce na szyję, odwzajemniając jego pieśczoły. Nie protestowała też, gdy wziął ją na ręce i delikatnie ułożył na szerokim, ocienionym baldachimem łóżku, należącym niegdyś do panny Cory. Dopiero kiedy ponownie pochylił się nad nią dotarło do niej, na co się zanosi.

- Przestań, Garret - poprosiła, odsuwając się.

- Chyba żartujesz - wyszeptał zdumiony.

Potrząsnęła przecząco głową po czym zasłoniła dłońmi płonące policzki.

- Nie chcę być kolejnym numerkiem na liście twoich miłosnych podbojów - wyznała zdławionym głosem.

- Co takiego? - zdumiał się. - A więc twoim zdaniem tak to wygląda?

Powoli odjęła dłonie od twarzy i spojrzała na niego z wahaniem.

- A niby jak? Nie pamiętasz? Proponowałeś mi letni romans. Jeśli nadal tylko tego oczekujesz ode mnie...

- Nie tylko - mruknął.

- No tak, byłabym zapomniiała. Przecież chodzi ci jeszcze o mój dom.

Zerwał się na równe nogi. Przez chwilę stał w milczeniu, nerwowo przeczesując dłońmi włosy. Nie wyglądał na zdenerwowanego, raczej na zdesperowanego.

- Na litość boską Brooke - jęknął wreszcie. - Ty tylko o jednym.

- I kto to mówi! - zachnęła się. - A co do mojego domu, to...

- Dajmy spokój twojemu domowi!

- Czy to nie o niego przypadkiem ci chodzi? - Posłała mu niedowierzające spojrzenie.

- Do diabła, już sam nie wiem, o co tu tak naprawdę chodzi - odparł zirytowany. -

Wybacz, ale jestem rozczarowany, myślałem... A, zresztą nieważne. To jak, może być o szóstej?



- Co takiego? - Nie rozumiała.

- Czy możemy umówić się na szóstą na kolację?

- Ach, prawda, na kolację... - przypomniała sobie. - Niech będzie na szóstą tylko... tylko, czy wciąż masz ochotę przyjść, po tym, co się przed chwilą stało?

- A czy coś się w ogóle stało? - prychnął. - Nie, Brooke, z tobą to zupełnie niemożliwe, żeby do czegoś doszło. Co do kolacji, to jasne, że przyjdę. Czy aby ty nie straciłaś ochoty?

- Nie, raczej nie... Po prostu... - Urwała, gdyż nie bardzo wiedziała, co ma powiedzieć. Że nie potrafiła usiedzieć z nim w jednym pokoju, nie pragnąc znaleźć się w jego ramionach? Że gdyby poddała się temu pragnieniu, do końca życia nie zdołałaby pogodzić się z szarą rzeczywistością? - W takim razie do zobaczenia o szóstej - westchnęła z rezygnacją

- Do zobaczenia - odparł i obróciwszy się na pięcie, ruszył w kierunku drzwi.

Jej spojrzenie powędrowało w ślad za nim, a gdy zniknął, Brooke zalała się łzami. Czuła się taka bezradna i nieszczęśliwa, że nawet nie miała siły walczyć ze szlochem, który wreszcie wyrwał jej się z piersi. Nagle poczuła na skroni coś mokrego i wilgotnego. Na moment wstrzymała oddech, potem bardzo powoli otworzyła jedno oko, gotowa natychmiast zerwać się do ucieczki. Baron, bo on to właśnie był, zawył cicho i polizał ją po dłoni. Nigdy jeszcze nie widziała tak szczerego wyrazu współczucia w oczach żadnego czworonożnego stworzenia. Ze ściśniętym gardłem zarzuciła mu ręce na szyję i ukryła mokrą od łez twarz w jego szorstkim futrze.

Czasem przychodzą takie chwile, gdy człowiek musi szukać życzliwości, gdzie się tylko da, nawet u psa, pomyślała z westchnieniem.

Kwadrans później czuła się już znacznie lepiej. Widocznie nagromadziło się w niej tyle sprzecznych emocji, iż potrzebowała się najzwyczajniej w świecie wypłakać. Dzięki temu również odkryła, że ma przyjaciela w Baronie, co wprawdzie nie znaczyło, iż zmieniła opinią na temat psów, ale zawsze był to pierwszy krok.

Na szczęście udało jej się wymknąć niepostrzeżenie do domu, dzięki czemu nie była zmuszona tłumaczyć się ze swych opuchniętych powiek i zaczerwienionych policzków. Koty czekały już na nią z niecierpliwością tak że od razu mogła zająć się czynnościami, które zawsze przynosiły jej ukojenie i satysfakcję. Niestety, tym razem było nieco inaczej, gdyż nie umiała przestać rozmyślać o Garrecie, mimo usilnych starań. W ten sposób przeszkadzał jej w czymś, co dotąd było dla niej najważniejsze w życiu - w opiece nad kotami. Szczerze mówiąc, nie wróżyło to dobrze na przyszłość...

Gdy Jacksonowie stanęli w drzwiach jej domku punktualnie o szóstej, wszystko było już gotowe do kolacji, zaś Brooke powitała ich odświeżona, przebrana i zdecydowana tym razem trzymać swe emocje na wodzy. Molly rozejrzała się dokoła, zacierając ręczki z radości, jako że Gable, Carole Lombard, Jednooki Dick oraz Księżę czekali już na nią w salonie.

- A czy Pookie też może się z nami pobawić? - poprosiła.

- Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł - odparła Brooke. - Pookie to bardzo cenne zwierzątko...

Widząc jednak wyraz rozczarowania na twarzy dziewczynki, zmieniła zdanie.

- A, co tam. - Machnęła ręką - Pookie przepada za tobą a że tęskni za panią Swann, przydałoby mu się trochę rozrywki. Tylko musisz mi obiecać, że będziesz go dobrze pilnowała. Nawet nie chcę myśleć, co by było, gdyby coś mu się stało...

Podczas gdy Molly zajmowała się kotami, Brooke nakrywała ustawiony na werandzie stół. Pomagał jej w tym Garrett, który był wyraźnie czymś przejęty i zapewne z tego powodu nieskory do rozmowy. Wreszcie wszyscy troje zasiedli do kolacji. Owiewał ich lekki wietrzyk, niosąc od strony lasu delikatny zapach sosen. Brooke kilka razy przyłapała Garretta na zerkaniu na zegarek. Czuła się urażona, bo przecież mógł się z nią nie umawiać, skoro był aż taki zajęty.

Kiedy Molly i Garrett po skończonym posiłku zniknęli w łazience, Brooke wzięła się za sprzątanie ze stołu. Postanowiła, że powie Garrettowi, iż może uważać swój obowiązek za spełniony i wracać do tych niesłychanie pilnych spraw, które aż tak absorbowały go podczas kolacji.

Wtem do jej uszu dobiegł warkot nadjeżdżającego samochodu. Zdziwiła się, bowiem nikt nie zajeżdżał tu przez pomyłkę. Jako że ona nikogo się tego dnia nie spodziewała, domyśliła się, iż to gość Garretta. Stała na werandzie, by przyjrzeć się dokładniej zbliżającemu się autu. Lśniący czarny mercedes zatrzymał się przed jej domem, a okno od strony kierowcy otwarło się i wyrzucił z niego elegancko ubrany mężczyzna w średnim wieku.

- Szukam Garretta Jacksona - wyjaśnił. - Nie wie pani przypadkiem, gdzie go znajdę?

- Jest w środku. - Wskazała dłonią, na drzwi do domku.

- W takim razie... - Mężczyzna wyłączył silnik, po czym wysiadł z samochodu i podszedł bliżej. - Nazywam się Mike Pritchard. - Wyciągnął w jej kierunku rękę.

- Brooke Hamilton - przedstawiła się, podając mu dłoń.

- Ach, panna Hamilton, oczywiście.

- Czy my się znamy? - zdziwiła się.

- Nie, ale wiem o pani prawie wszystko. - Uśmiechnął się. - Mam nadzieję, że skorzystała pani ze swego kobiecego przywileju i zmieniła zdanie.

- Na jaki temat? - Nie rozumiała.

- Na temat sprzedaży gruntu panu Jacksonowi, ma się rozumieć. Opowiadał mi o pani niechęci wobec tej transakcji, co w pełni rozumiem, jako że okolica istotnie jest przepiękna, ale jestem pewien, że znajdę pani coś równie uroczego.

- Chwileczkę, czy chce pan powiedzieć, że pracuje pan w agencji nieruchomości? - zapytała z naciskiem.

- Naturalnie. Nie wiedziała pani o tym? - zdumiał się Pritchard.

- Nie, niby skąd?

Nie mogła uwierzyć, że Garrett mimo wszystko nie zaniechał swych planów sprzedaży Glennhaven.

- Myślałem... - zaczął przybyły.

- Dość! - przerwał mu ostro Garrett, który właśnie pojawił się na werandzie. - Zbyt wiele pan myślał.

- Zapewniam pana, panie Jackson...

- Umawialiśmy się o dwudziestą trzydziestą w głównym budynku - przypomniał mu Garrett.

- Tak, ale mam doskonale wieści...

- Nic mnie to nie obchodzi - warknął Garrett. - Ja również miałem dla pana wiadomość, ale przyszedł pan w najbardziej chyba nieodpowiednim momencie.

- Rzeczywiście, chyba ma pan rację - przyznał Pritchard. - Sądziłem, że chciałby pan wiedzieć, że znalazłem kupca, pod warunkiem jednak, że działka panny Hamilton również wejdzie w skład tej nieruchomości.

- Moja działka? - oburzyła się Brooke. - Garrett, jak mogłeś?!

- Porozmawiamy o tym później, dobrze? - poprosił.

- Wykluczone! Nie mam ci nic więcej do powiedzenia, ani teraz, ani później! -

Odwróciwszy się na pięcie, szybkim krokiem przeszła na drugi koniec werandy.

- Panie Jackson - wtrącił się Pritchard. - Próbowałem się do pana dodzwonić, ale coś się dzieje z linia, telefoniczna,...

- Niech się pan stad wynosi! - ryknął na niego naprawdę już rozwścieczony Garrett. - Bo zaraz sam pana wyrzucę!

Mężczyzna, chcąc, nie chcąc, posłuchał go i szybko odjechał.

Brooke czuła się poniżona i oszukana. Jak on mógł, kierując się chęcią zysku, sprzeciwić się ostatniej woli panny Cory? Usłyszała jego kroki, potem poczuła na swych ramionach jego silne dłonie.

- Brooke, wiesz dobrze, że nie mógłbym sprzedać twojej działki, gdybyś się na to nie zgodziła. Agencja liczyła po prostu, że uda się połączyć obydwie nieruchomości, tak by uzyskać jak najwyższą cenę - tłumaczył.

- Obiecałeś, że jeszcze raz to rozważysz - przypomniała łamiącym się głosem.

- Owszem i myślałem nad tym nieraz. Gdybyś tylko zechciała mnie wysłuchać, myślę, że mógłbym...

- Przekonać mnie, że postępujesz właściwie? - wpadła mu w słowo. - Nie sadzę. Nie mamy już sobie nic do powiedzenia, Garrett - dodała ze smutkiem.

- Ależ mamy, i to całe mnóstwo. - Przycisnął ją do siebie, tak że oparła się o niego plecami. - Próbują ci powiedzieć, że zdecydowałem...

- Nic mi nie mów! Nie chcę tego słuchać. Po prostu odejdz.

- Chyba nie mówisz tego poważnie.

- Jak najbardziej - zapewniła stanowczo. - Nigdy nie zamierzałeś wypełnić warunków testamentu panny Cory, chciałeś mnie po prostu uwieść. Nie chcę cię więcej widzieć!

Jego dłonie zsunęły się z jej ramion.

- Mówisz tak, jakby chodziło tu tylko o tę nieruchomość. Chcę, żebyś zrozumiała...

- Ależ ja rozumiem! - przerwała mu. - Tu chodzi właśnie o tę nieruchomość. Wydaje ci się, że nie powinnam stawać ci na drodze, bo jestem łowczynią, spadków, która wkradła się w łaski samotnej staruszki.

- To nieprawda - odparł z naciskiem. - Nie jestem przyzwyczajony do słuchania rozkazów i zdecydowanie tego nie lubię. Ostrzegam, że jeśli teraz mnie nie wysłuchasz i każesz mi odejść, już tu nie wrócę. Jesteś pewna, że chcesz, aby to się tak skończyło?

- Nie jestem już pewna niczego, prócz tego, że czuję się jak skończona idiotka - wyznała z goryczą.

Na dłuższą chwilę zapanowała cisza.

- W takim razie pójdę po Molly - oznajmił Garrett i wszedł do domku.

Roztrzęsiona Brooke starała się opanować, tak by nie musiała się potem wstydzić swej zalanej łzami twarzy. Gdy Garrett pojawił się ponownie na werandzie, na jego twarzy gościł wyraz przerażenia.

- Co się stało? - zaniepokoiła się.

- Molly... - wykrztusił. - Molly zniknęła, a z nią ten przekłety kot.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Mówiac „ten przekłety kot”, miał na myśli Pookiego, która to prawda dotarła do Brooke z niejakim opóźnieniem.

- Jak to, zniknęła? - powtórzyła. - Gdzie się mogła podziać?

- Mam nadzieję, że wróciła po prostu do domu. - Rzucił pełne niepokoju spojrzenie w kierunku głównego budynku.

- Nie martw się, Garrett, na pewno Molly czeka tam już na ciebie - zapewniła, próbując nie dopuścić do siebie złych myśli.

- Nie mogłaby pójść gdzieś bez twojego pozwolenia, to do niej niepodobne...

- Też tak myślałem, dopóki nie znalazłem tego koło okna.

- To powiedziawszy, wyciągnął ręką, w której trzymał wstążkę.

- Koło otwartego okna - dodał.

- O, nie - jęknęła z przerażeniem. - Chyba nie sadsisz, że nas słyszała?

- A niby, jak miała nas nie słyszeć? Nie zachowywaliśmy się szczególnie cicho - zauważył z przekąsem. - Ale pewnie masz rację, Molly po prostu wróciła do domu. - Ton jego głosu zdradzał, że sam nie wierzy w to, co mówi.

- Ale zabrałaby ze sobą Pookiego? To już zupełnie do niej niepodobne. Wie przecież, że kotom nie wolno wychodzić na dwór.

- A już zwłaszcza Pookiemu - dodał ponuro. - Gdyby coś mu się stało...

Garrett nawet nie musiał kończyć. Na myśl, co by się wtedy działo, Brooke dostała gęsiej skórki. Mogłaby od razu przemianować swój hotelik z Kocięgo Kącika na... Kota-

strofę. Niemniej zniknięcie nawet najbardziej wartościowego kota traciło na znaczeniu wobec faktu, że nie wiedzieli, gdzie się znajduje Molly.

- Założę się, że Molly czeka na nas w swym pokoju - powiedziała, doganiając Garretta, który ruszył w stronę domu. - A Pookie razem z nią

- Obyś wygrała - mruknął.

Niestety, nie było jej to pisane, gdyż w całym budynku nie znaleźli żadnego śladu ani dziewczynki, ani kota. Sytuacja przedstawiała się coraz gorzej.

- Nie martw się, znajdziemy ich - obiecał Garrett, widząc przerażenie w jej oczach.

- Masz rację, niepotrzebnie panikujemy - odpowiedziała, przywołując na twarz uśmiech. - Rozejrzyjmy się wokół domu, może Molly jest z psami w ogrodzie.

Po kilku minutach okazało się, iż tam również jej nie ma. Pod drzewem leżał spokojnie Baron, ze zdumieniem przypatrując się całemu zamieszaniu, Larry zaś biegł w tą i z powrotem, ujadając, jak to on miał w zwyczaju. Widząc go, Brooke na moment przystanąła, ale szybko opanowała strach. Nie miała czasu na takie drobiazgi.

- Co teraz? - zapytała z drżeniem w głosie. - Zagląдалиśmy już chyba wszędzie.

- Szukaliśmy jej w najbardziej oczywistych miejscach, ale nie wszędzie - sprostował Garrett, podnosząc wzrok na ciemniejącą na horyzoncie linię lasu. - Czy myślisz...?

- Nie chcesz chyba przez to powiedzieć, że poszła do lasu? - przeraziła się.

- To raczej mało prawdopodobne, ale pamiętasz, jak jej się podobał piknik. Wszystko zależy od tego, dlaczego uciekła...

Ich spojrzenia spotkały się. Brooke wyczytała w jego oczach, że tak samo, jak ja, dręczyły go wyrzuty sumienia. Nie powinni byli się kłócić, a przynajmniej nie w obecności tak wrażliwego dziecka, jak Molly.

- Przepraszam - wyszeptała. - To wszystko moja wina.

- Dlaczego tak uważasz? - Garrett przyjrzał jej się z uwagą

- Nie powinnam była walczyć z tobą. To, co zamierzasz zrobić ze swoją częścią spadku, jest wyłącznie twoją sprawą

- Masz prawo do swego zdania - zauważył, wzruszając ramionami.

- Nieważne. Posłuchaj, kiedy już odnajdziemy Molly, oddam ci moją część spadku i będziesz mógł z nią zrobić, co ci się żywnie podoba - obiecała.

- Akurat, zmienisz zdanie, jak już przyjdzie co do czego - stwierdził z lekkim uśmiechem.

- Na pewno nie - wybakowała, po czym zrobiła coś, czego od dawna z całego serca pragnęła. Rzuciła się w jego ramiona, wtulając twarz w zagłębienie między szyją a ramieniem. Garrett bez wahania zamknął ją w swych objęciach i stali tak dłuższy czas, czerpiąc pociechę z wzajemnego dotyku. Wtedy to Brooke przyznała się sama przed sobą do czegoś, z czym walczyła niemal od pierwszej chwili, gdy go ujrzała, a mianowicie do tego, że kocha go całą sobą..

Molly nie było ani na łące, ani na kortach tenisowych, ani też w okolicy budynków gospodarczych. Gdy stanęli na skraju lasu, Brooke odwróciła się i z przestrachem spojrzała Garrettowi prosto w oczy.

- Proszę, powiedz mi, że jej tam na pewno nie ma! Przez chwilę milczał, tylko głośne szczenie Larry'ego przerywało wieczorną, ciszę. Było już po ósmej, pozostało niewiele czasu do zachodu słońca...

- Chciałbym móc ci to powiedzieć, ale obawiam się że jednak Molly poszła do lasu. Szukaliśmy już wszędzie, chyba najwyższy czas, żebyśmy zwrócili się o pomoc do policji.

- A co, jeśli telefon wciąż nie działa? Ten człowiek z agencji nieruchomości mówił, że próbował się do ciebie dodzwonić - przypomniała.

- Rzeczywiście - jęknął Garrett. - Nie wiem już, co robić... Rozpaczliwym gestem przecesał włosy dłonią, Brooke zwróciła uwagę na wciąż trzymaną przez niego niebieską wstążkę Molly.

- Jeśli ten przebrzydły pies nie przestanie się wydierać...- wycedził przez ząby.

- Garrett! - zawołała Brooke. - Mam pomysł! - Chwyciła go za łokieć.

- Jaki? - ożywił się.

- Larry! Może Larry ją znajdzie!

- Racja! - podchwycił. - Teriery są przecież psami myśliwskimi. Warto spróbować. Chodźmy, szkoda czasu!

To powiedziawszy, złapał ją, za rękę i pociągnął za sobą z powrotem w kierunku domu. Obydwoje czuli, że nie pora teraz na kłótnie, że jednoczy ich wspólny cel: odnalezienie Molly, całej i zdrowej.

Podczas gdy Brooke próbowała mimo wszystko dodzwonić się na posterunek policji, Garrett przygotowywał psy.

- Nie udało się? - zapytał, widząc wyraz rozczarowania na jej twarzy.

- Niestety, jesteśmy zdani tylko i wyłącznie na siebie.

- Nie martw się- pocieszył ją, - Na pewno nam się powiedzie, mamy przecież Larry'ego.

- Mam nadzieję- westchnęła. - Jeśli ten hałaśliwy pies wybawi nas z kłopotu, postaram się z nim zaprzyjaźnić, nawet gdybym miała przypłacić to życiem.

- W takim razie przygotuj się do tego psychicznie, bo właśnie wyruszamy.

Udali się najpierw do domu Brooke, gdzie poprowadzili psy do okna, przy którym Garrett znalazł wstążkę. Dał im czas na dokładne poznanie zapachu kawałka błękitnej satyny, po czym spuścił je ze smyczy i przykucnął.

- Znajdźcie Molly! - polecił czystym, stanowczym głosem. - Znajdźcie Molly, a na kolację dostaniecie wielki, soczysty stek.

Wkrótce przedzierali się przez krzewy, porastające z obydwu stron wąziutką, ścieżką. Przed nimi szli nieustannie hałasujący Larry oraz jak zawsze opanowany Baron. Brooke miała niejakie trudności z nadążeniem za nimi, ale wiedziała, że nie może sobie pozwolić na pozostanie w tyle, bowiem stopniowo ogarniała ich ciemność. Zadrżała na

myśl o tym, jak w tej chwili musi się czuć biedna Molly... Naraz potknęła się i upadła na ziemię. To już koniec, przemknęło jej przez myśl. Garrett jest tak przejęty poszukiwaniami, że nawet nie zauważył mojego zniknięcia. Na szczęście w tej samej chwili poczuła, jak silne dłonie podnoszą ją i stawiają z powrotem na nogi. A jednak zauważył...

- Nic ci się nie stało? - usłyszała jego zaniepokojony głos.

- Nie, nie - pospieszyła z odpowiedzią - Możemy iść dalej.

Przeszli dosłownie kilka kroków, gdy szczekanie Larry'ego zupełnie zmieniło ton.

- Psy coś wytropiły - powiedział Garrett, wyjmując z jej dłoni latarkę. - Stań za mną Brooke.

Wyraźnie chciał ją ochronić przed ewentualnym przykrym widokiem, jaki, niestety, mógł się ukazać ich oczom. Zrozumiała wtedy, że nie był aż tak pewny sukcesu tej wyprawy, jak można by sądzić z jego zachowania, próbował po prostu podnieść ją na duchu. Posłusznie wycofała się i ująwszy go za szlufkę, podążyła o krok za nim.

Znaleźli małą śmiertelnie przerażoną dziewczynką, która siedziała u stóp drzewa rosnącego o dobrych kilka kroków od ścieżki. Gdyby więc nie zaalarmowały ich psy, mogli równie dobrze przejść obok, nie zauważywszy jej. Na umorusanej twarzyczce Molly widniały ślady łez, miała potargane włosy i brudne ubranie. Kot, którego trzymała w objęciach, wyglądał nie lepiej. Dziewuszka podniosła pełne nadziei spojrzenie na przybyłych, których nie mogła rozpoznać, oślepiona snopem światła.

- Tatuś? - wykrztusiła

Garrett mruknął coś niezrozumiale i rzucił się przed nią na kolana, upuszczając przy tym latarkę. Brooke podniosła ją i dyskretnie oświetliła wzruszającą sceną. Nie mogła powstrzymać łez, patrząc na tych dwoje, choć robiło jej się słabo na myśl o tym, co będzie, gdy Molly zorientuje się, że uratował ją nie ojciec, lecz wujek. Gdy dziewczynka podniosła wreszcie na niego wzrok, Brooke wstrzymała oddech. Wiedziała, że nadchodzi ten straszliwy moment.

Tymczasem mała uśmiechnęła się radośnie i pogłaskała Garretta po policzku.

- Tatusiu, wiedziałam, że po mnie przyjdiesz - powiedziała czystym dziecięcym głosem.

Garrett wziął ją ostrożnie na ręce i w milczeniu zaniósł do domu. Brooke szła tuż za nimi, trzymając w objęciach Pookiego, który raz zakosztował wolności, wyraźnie nie miał ochoty wracać do życia w luksusie. Pewna była jednak, że po sutym posiłku jego nastrój ulegnie zdecydowanej poprawie. Fakt, iż znaleźli ich oboje całych i zdrowych, graniczył z cudem.

- Dziękuję Ci, Boże - westchnęła, wznosząc oczy ku rozgwieżdżonemu niebu.

Gdy znaleźli się z powrotem w domu, psy otrzymały obiecane steki, natomiast Molly została zanieśiona do łazienki, gdzie czekała już na nią gorąca kąpiel, przygotowana przez uszczęśliwioną panią O'Hara. Po zmyciu błota i kurzu okazało się, że dziewczynka ma zaledwie kilka zadrapań i niewielkich siniaków. Ubrana w różową

falbaniastą koszulkę nocną zaprowadzona została do swej sypialni. Garrett usadowił się w stojącym obok łóżka fotelu bujanym i posadził sobie małą na kolanach.

- Musimy porozmawiać o tym, co się stało, Molly - zaczął łagodnie.

Brooke pomyślała, że w takim razie przyszła pora, by wrócić do domu, dlatego cicho ruszyła ku drzwiom.

- Nie wychodź! - nakazał Garrett. - Jesteś w to zamieszana, więc powinnaś zostać.

- Nie chciałam wam przeszkadzać... - wyjaśniła, zerkając znacząco na dziewczynkę.

Widząc jego pełne uporu spojrzenie, posłusznie usiadła na miękkim pufie w nogach łóżka, ostrożnie kładąc sobie na kolanach potarganego, brudnego Pookiego.

- Opowiedz nam, Molly, co się wydarzyło - zachęcił.

- A co się miało wydarzyć? - Dziewczynka najwyraźniej nie rozumiała, o co mu chodzi.

- Dlaczego uciekłaś?

- Ależ, tatusiu, ja wcale nie uciekłam - odparła z naciskiem. Tym razem nie mogło być pomyłki, Molly celowo nazwała go swym tatusiem, tak jak tego pragnął od miesięcy.

- W takim razie, dlaczego...? - zawiesił głos.

- To Pookie uciekł - wyjaśniła. - Wybiegł, kiedy otworzyłam okno. Ty i Brooke bylibyście na mnie źli, gdyby się zgubił, więc pobiegłam za nim.

- Molly, kochanie, wcale nie byłabym na ciebie zła - wtrąciła się Brooke.

- Byłaś zła na tatusia, a on przecież nie zrobił nic tak okropnego, jak ja - zauważyło logicznie dziecko.

Garrett i Brooke wymienili wymowne spojrzenia.

- A więc słyszałaś, jak się sprzecaliśmy? - wywnioskował Garrett.

- Krzyczeliście na siebie - poprawiła go. - Mamusia i mój pierwszy tatuś też czasem na siebie krzyczeli, ale potem się całowali i przepraszaali. Czy ty i Brooke też to zrobiliście?

- Jeszcze nie - odparł najzupełniej poważnie. - Czyli słyszałaś naszą kłótnię i chciałaś nam powiedzieć, żebyśmy się pogodzili, ale wtedy Pookie uciekł, więc pobiegłaś za nim. Tak było?

Molly skinęła głową.

- Nie mogłam go dogonić - opowiadała marszcząc czołko. - Biegłam i biegłam, aż wreszcie go złapałam. Ale wtedy zrobiło się ciemno i nie wiedziałam, jak wrócić do domu. Tatusiu, chyba widziałam potwora - wyznała ze łzami w oczach.

Garrett przytulił ją mocno.

- Na pewno to był tylko cień, kochanie - powiedział łagodnie. - Nie sadzisz chyba, że Pookie i Larry pozwoliliby potworom zbliżyć się do Glennhaven.

- Nie wiem - mruknęła. - Ale mam nadzieję, że masz rację... - Ziewnęła szeroko. -

Tatusiu, kochasz mnie jeszcze? - zapytała, walcząc ze znużeniem.

- Oczywiście, zawsze cię będę kochał, żeby nie wiem co się działo - obiecał solennie.

- Ja ciebie też... I Brooke - wyszeptła Molly, po czym natychmiast zasnęła.



Garrett podniósł się ostrożnie i położył ją, do łóżka, po czym pochylił się, by pocałować małą w czoło. Brooke wymknęła się cicho z pokoju i pobięła do siebie, nawet nie próbując zapanować nad napływającymi do oczu łzami.

Dogonił ją na werandzie i zanim się zdążyła zorientować, chwycił ją w talii, tak że stanęła z nim twarzą w twarz. Pookie zeskoczył na ziemię i przyglądał się im, nie kryjąc oburzenia.

- A dokąd to? - zapytał z naciskiem Garrett.

- Do domu. Jutro poszukam jakiegoś miejsca, w które mogłabym przenieść Koci Kącik.

- Ale dlaczego? - zdziwił się.

- Wiesz dobrze, dlaczego - mruknęła, kładąc dłonie na jego ramionach, z zamiarem uwolnienia się z uścisku.

- Nie mam pojęcia.

- Przecież powiedziałam, że jak odnajdziemy Molly całą i zdrową oddam ci moją część spadku - przypomniała. - Możesz zadzwonić do tego faceta z agencji i powiedzieć mu, że sprzedajesz całość.

- Nie wygłupiaj się. - Przycisnął ją jeszcze mocniej do siebie. - Nigdzie nie pójdziesz.

- Nie masz prawa mówić mi, co mam robić, a czego nie! - zaperzyła się.

W duchu zaś prowadziła walkę z narastającym w niej przemożnym pragnieniem wtulenia się w jego objęcia. Wreszcie z westchnieniem położyła głowę na jego piersi.

- Nie chcę ani twojego domu, ani działki - wyszeptał wprost do jej ucha. - Już nie.

- Czego w takim razie teraz chcesz?

- Żebyśmy się pocałowali i przeprosili, tak jak mówiła Molly.

- Daj spokój, Garrett, nie drocz się ze mną, - poprosiła.

- Wiem, o co tak naprawdę ci chodzi i jest to coś więcej niż pocałunek.

- Skoro wiesz takie rzeczy, to powiedz mi, czego, twoim zdaniem, chcę.

- Nigdy się z tym nie kryłeś. Interesował cię letni romans... - urwała. Po chwili zebrała w sobie odwagę, by kontynuować.

- I chyba miałeś rację, lepszy taki niż żaden...

- Nie chcesz chyba przez to powiedzieć... - W jego głosie pobrzmiwało niebotyczne zdumienie.

- Chcę. Nie mam już siły dłużej ci się opierać - wyznała. - Nie będą zadawać niepotrzebnych pytań ani też stawiać warunków. Jeśli chcesz, zgodzę się, żebyś sprzedał i swój, i mój dom.

- Czyżby? - mruknął.

Nie potrafiła wywnioskować z tonu jego głosu, co tak naprawdę w tej chwili myślał.

- Zamierzasz sprzedać swoją część, prawda? - upewniła się.

- Nieprawda. Miałem dziś wieczorem polecić Pritchardowi, żeby wycofał moja ofertę - oznajmił. - Tylko że ty nie dałaś sobie nic wytłumaczyć.

- A więc przeznaczysz dom na schronisko dla kotów? Gdy to zrobi, na zawsze zniknie z jej życia, tak jak planował od samego początku.

- Nie - padła lakoniczna odpowiedź.  
- Ale przecież to było drugie wyjście - zauważyła, marszcząc brwi.  
- Jest jeszcze jedno. - Pochylił się, by pocałować ją - Zdecydowałem, że Molly i ja zamieszkamy tutaj, przynajmniej na jakiś czas.  
- Naprawdę? - Brooke nie wierzyła swemu szczęściu. - Ale dlaczego?  
- Cóż, zrozumiałem wreszcie, że tak naprawdę nic mnie nie trzyma w Chicago. - Uśmiechnął się czarująco. - Tutaj zaś mogę przynajmniej mieć nadzieję na śniadanie w łóżku.

Na dłuższy moment zapanowała cisza.

- Brooke... - odezwał się Garrett.  
- Tak?  
- Uff, nie przypuszczałem, że to będzie takie trudne. - Westchnął.  
- Ale co? - zdziwiła się.  
- Próbuję zebrać w sobie odwagę...  
- Ty? Niemożliwe.  
- Nie śmieję się ze mnie. - Odsunął ją na długość ramienia, tak by móc zajrzeć jej głęboko w oczy. - Nie jest tak łatwo być trzydziestodwuletnim facetem, który po raz pierwszy ma poważne zamiary...  
- Jak poważne? - zapytała słabym głosem.  
- No wiesz, ślub, złota obrączka, dozogonna miłość i te sprawy - wyjaśnił nieco speszonym głosem. - Nigdy jeszcze nie mówiłem kobiecie, że ją kocham i dlatego niezbyt wprawnie mi to idzie, ale to właśnie próbuję ci powiedzieć...  
- Że mnie kochasz? - powtórzyła, nie mogąc uwierzyć własnym uszom.  
- Proszę, nie trzymaj mnie w niepewności. To jak będzie? Zgadzasz się?  
- Ja... Auu!

Poczuła, że coś chłodnego i wilgotnego dotyka jej kostki, dlatego z pełnym przerażenia okrzykiem wyrwała się z ramion swego ukochanego. Spojrzawszy w dół, spostrzegła Larry'ego, który przyglądał jej się ze zdziwieniem, machając nieśmiało ogonem. Po raz pierwszy chyba nie szczekał jak szalony.

Tymczasem Garrett ujął ją pod brodą i odwrócił, tak by spojrzała na niego.

- Nie zwracaj uwagi na psa, tylko powiedz to, co chciałbym usłyszeć - poprosił.  
- Za chwilę - obiecała. - Ale najpierw muszę przeprosić mojego nowego przyjaciela.  
Kucnąwszy, zarzuciła Larry'emu ramię na szyję.  
- Gdybym cię nie kochał, pomyślałbym, że zupełnie oszalałaś - zauważył Garrett.

Dobiegający z korytarza stłumiony chichot obudził Brooke. Otworzyła oczy i uważnie rozejrzała się wokoło. Znajdowała się w dużej sypialni, która niegdyś należała do panny Cory, teraz zaś do niej oraz jej męża. Późno w nocy wrócili z podróży poślubnej i nie mieli jeszcze okazji przywitać się z Molly.

Wszystko dobre, co się dobrze kończy, pomyślała, przeciągając się rozkosznie. Garrett poruszył się i nie otworzywszy nawet oczu, musnął wargami jej ramię, zaś jego ręka powędrowała na jej biodro.

- Kocham cię, Brooke - wyszeptał.

- Ja ciebie też - odparła, zatrzymując jego dłoń. - Ale lepiej zaczekaj z udowadnianiem mi tego, bo słyszę, że coś się dzieje na korytarzu. Chyba będziemy mieli towarzystwo.

- Towarzystwo? - uniósł się na łokciu. - Nie chcę towarzystwa, chcę...

- Niespodzianka!

Drzwi otwarły się, a do sypialni weszła Molly, niosąc srebrną tacę.

- Pani O'Hara kazała mi jeszcze poczekać, ale ja już nie mogłam - wyjaśniła. - Tęskniłam za tobą, tatusiu, i za tobą, mamusiu. - Nie czekając na zachętę z ich strony, podeszła do łóżka. - Przyniosłam wam śniadanie, tak jak zawsze chciałeś, pamiętasz, tatusiu?

Zobacz, sama je przygotowałam. Jest tu mleko czekoladowe, ciasteczka czekoladowe z galaretką, krakersy...

Podczas gdy Molly demonstrowała im zawartość tacy, do pokoju wkroczył dostojnie Gable, a za nim Carole Lombard. Koty podeszły do łóżka i wyraźnie zastanawiały się, czy wskoczyć, gdy do sypialni wpadł Larry, ujadając radośnie na ich widok. Wtedy, chcąc, nie chcąc, ułożyły się wygodnie na jedwabnej pościeli.

- Co tu się dzieje? - załamała ręce pani O'Hara, która właśnie stanęła w drzwiach w towarzystwie Barona. - Koty, uciekać stad! Jak wam się podobało na Karaibach, kochani? Molly, mówiłam ci, żebyś nie budziła rodziców przed pierwszą, a jest dopiero południe. Larry, zmykaj stad. Wszyscy, sio!

Garrett usiadł na łóżku, śmiejąc się wesoło.

- Chwileczkę, nikt nie musi nigdzie uciekać. Prawda, pani Jackson? - Uśmiechnął się do swej młodej małżonki.

- Święte słowa, panie Jackson. Wiesz, gdybym wiedziała, że to śniadanie, którego się tak domagałeś, będzie miało rodzinny charakter, już dawno bym się zgodziła.

Kucharka zarumieniła się po same uszy.

- Ależ... Bawcie się dobrze, dzieci - wybąkała. - Mam mnóstwo pracy. - To powiedziawszy, wyszła szybkim krokiem.

Garrett posadził Molly obok siebie na łóżku.

- Słyszałaś, pani O'Hara mówiła, że mamy się dobrze bawić. Co ty na to, słonko?

- Jasne, tatusiu - roześmiała się radośnie. - Przecież śniadanie w łóżku to pyszna zabawa!